

Autor wspomnień

*Notatki z wygnania*

KONSTANTY  
RDUŁTOWSKI



BIBLIOTEKA  
ZESŁAŃCA

POLSKIE TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE  
URZĄD D/S KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRESJONOWANYCH  
WARSZAWA – WROCŁAW 1996

Redaktor naukowy:

Antoni Kuczyński

Redaktor:

Urszula Sagan

Posłowiem i przypisami opatrzył:

Stanisław Ciesielski

Korekta i indeksy:

Aleksander Srebrakowski

Projekt okładki:

Waldemar Chwedeżuk

Druk książki  
dofinansowany przez Kancelarię Senatu  
Rzeczypospolitej Polskiej

ISBN 83-904914-5-1

© Copyright by Polskie Towarzystwo Ludoznawcze

Oficyna Wydawnicza „Biblioteka Zesłańca”  
Polskie Towarzystwo Ludoznawcze  
Wrocławska Drukarnia Naukowa. Zam. nr 351/95

## Od córki

Nigdy w najśmielszych nawet marzeniach nie przypuszczałam, że po tak wielu latach będę mogła ku czci i pamięci mego Ojca zapalić trwale światło świeczki, jaśniejące słowami Jego myśli, przeżyć, uczuć i wspomnień. Dziękuję Mu za to, że 50 lat temu, w sercu małej dziewczynki potrafił rozpalić uczucia, które trwają do grobu. Uczucia dobra, piękna, miłości do ludzi i wszystkich bożych stworzeń, a przede wszystkim, że potrafię kochać, szanować rozumieć i wspominać ludzi.

Przepisując ten pamiętnik mego Ojca, śp. Konstantego Rdułtowskiego, byłego ziemianina, Senatora II Rzeczypospolitej, patrioty, więźnia Sybiru, tułacza na ziemi perskiej, egipskiej i angielskiej – człowieka szlachetnego, wielkiego serca i dobroci – oddaję jedyną i ostatnią cześć Jego pamięci.

*Notatki z wygnania* – to kilka pożółkłych już zeszytów zapisanych ręką Człowieka, który przeszedł przez kaźnie sowieckich łagrów, przez tułacze miejsca wygnania, przez wichry wojny. Los gnał Go przez dalekie kraje dniami i nocami, w mrozie i upale, do rodziny, do domu, do kraju – od 17 września 1939 roku do 7 marca 1953 roku, czyli do dnia Jego śmierci.

Miłościwy Bóg nie wysłuchał Jego modlitwy, aby mógł spocząć w polskiej ziemi. Grób Jego jest bardzo daleko stąd: na cmentarzu w Sutton on Forest w Anglii – i dlatego nie mogę się nawet zadumać nad tą mogiłą, ani pomodlić. Przez całe wygnanie, a zwłaszcza ostatnie miesiące życia, przenikała Go tęsknota do najbliższych i do rodzinnej ziemi – do Polski. Pierwsza i ostatnia zwrotka wiersza S. Balińskiego pt. *O Kraju Mój*, który umieścił w swoich wspomnieniach, oddaje treść myśli, pragnień i przeżyć, jakie spisywał w swym pamiętniku śp. Konstanty Rdułtowski.

Płynę do ciebie po nocy  
Kraju mój, śpiewny, uroczy.  
Tam chmurki drżały z tkliwością,  
A wiatr kołysał serdecznie.  
O Kraju Mój – tyś mą miłością, wiecznie!

Można mnie stamtąd wyrzucić,  
Można mi kazać nie wrócić,  
Można mnie z żywych wymazać –  
Wygnać! Wypędzić za płoty!  
Ale jak można zakazać tęsknoty?

\*

Publikując te wspomnienia spełniam w jakimś stopniu wolę mojego Ojca. Zarysowany w nich obraz Jego tułaczki, to wygnańczy szlak wielu tysięcy Polaków, dla których zakończenie tragicznej wojny nie oznaczało przecie powrotu do kraju, co też było wstrząsem ich życia. Jakże trudno bowiem żyć jest w oddaleniu od rodzinnych stron, od rodziny i najbliższych. Te rozterki były też udziałem mojego Ojca, który zawsze pozostawał w wiernej służbie dla Rzeczypospolitej, zmarł zaś na wygnaniu, i ziemia rodzinna nie przyjęła Go do swego łona. Takie były czasy i wiem, że oddalenie ciążyło mu bardzo. Jego wygnańcze wspomnienia są wymownym świadectwem tamtych dziejowych nonsensów. Przez lat wiele przeleżały one w rękopisie. Tylko najbliżsi wiedzieli, że one istnieją. O druku nie mogło być mowy! Cenzura mocno spętała naszą historiografię. Ale przecież sytuacja ta musiała się kiedyś odmienić! I odmieniła się! Ale już nie cenzura stała na przeszkodzie druku tych wspomnień. Pojawiła się nowa trudność. Brak pieniędzy i dotarcie do wydawnictwa, które umożliwiłoby bez moich nakładów finansowych wydanie pamiętników. Wydawała się to bariera nie do przebycia. Ale na drodze mych 5-letnich starań pojawili się ludzie serdeczni. Pani mgr Urszula Studnicka, dr Janusz Kamocki i dr Antoni Kuczyński, kierownik Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego, twórca „Biblioteki Zesłańca” i oddany Przyjaciel tej książki. Za okazaną mi życzliwość i pomoc w staraniach o wydanie *Notatek z wygnania* składam Im serdeczne podziękowanie.

*Teresa Koziorowska*

Kraków, styczeń 1996

## Wstęp

W ciężkich chwilach spędzonych w więzieniach i obozie pracy, w czasie nocy bezsennych lub choroby przesuwają mi się przed oczami duszy z niezmierną wyrazistością wszystkie w długi łańcuch splecione momenty mojego minionego życia, zaczynając od pierwszych lat dzieciństwa. Ileż ciekawych zdarzeń, ile wybitnych ludzi, a nade wszystko ile dowodów wielkiego Miłosierdzia i Łaski Bożej, przychodziło mi w tych godzinach wspomnień na pamięć! I wówczas postanowiłem pisać pamiętnik z całego mego życia, najbardziej uwzględniając tę jego część, której pamiętniki ś.p. Matki mojej Ludwiki Rdułtowskiej nie obejmują, a więc okresy od 1880 roku i późniejsze po 1928 roku, gdy brałem udział w życiu naszego parlamentu.

Podczas pobytu w granicach ZSRR o pisaniu nie było mowy! Dziś dopiero z wolnego czasu korzystam i pracę mam rozpoczynam, ale nie od początku. Postaram się odnowić wspomnienia z lat ostatnich, które – rzecz dziwna – najbardziej jakoś zacierają się w zmęczonej więzieniem i przeżyciami pamięci.

Czy dużo zdołam napisać – nie wiem. Niezależnie od tego jak Bóg Wielki zechce pokierować moimi dalszymi losami, pragnąłbym aby ten kajet trafił do rąk Najdroższej Mojej Zony Zosieńki; chciałbym abyś Ty Zosiu Jedyna i Tereńka nasza Kochana i Brat mój Zygmunt Drogi dowiedzieli się z tych notatek, że zawsze o Was myślałem, zawsze sercem całym kochałem, ciągle tęskniłem – że ta miłość i tęsknota wzrastała jeszcze chyba, jeżeli w ogóle wzrastać mogła, z oddaleniem się od Was w przestrzeni i czasie.

*Teheran, dnia 2 listopada 1942 roku*

# Zesłańczy szlak



Ryc. 1. Zdjęcie ślubne autora wspomnień. Czernichów Górny – czerwiec 1936 r.

## 1. Wygnanie

W dniu 17 września 1939 roku byłem wraz z rodziną w miejscu mego stałego zamieszkania w majątku Czernichów Górny, gm. Wolna, pow. Baranowicze – mniej więcej o 65 km od granicy sowieckiej. O najściu bolszewików<sup>1</sup> dowiedziałem się około godz. 10 rano, gdy tanki ich były już na trakcie tuż za moim ogrodem. Pędzili jednak prosto nie zbaczając do dworu. Słyszałem jak zapewniali zbierającą się na drodze ludność wiejską, że idą ratować ich od Niemców – widziałem z dala, jak ta ludność rzucała żołnierzom do tanków owoce i kwiaty.

Po południu szumowiny ze wsi miejscowej i okolicznych zaczęły grabić owoce w oddanym w dzierżawę sadzie i kręcić się po dworze. Przy pierwszym zmierzchu wziąłem dwa parokonne wozy, parę walizek najpotrzebniejszych rzeczy i z żoną, córeczką i bratem uciekłem z domu przez las bocznymi drózkami – na chwilę przed wpadnięciem do majątku bolszewików, którzy przyjechali mnie aresztować. W ciemną noc zbłądziłem w lesie między Tracewiczami a Tuhanowiczami. Na wąskiej drodze zostaliśmy napadnięci przez bandę uzbrojoną w rewolwery, które mojej żonie i mnie przyłożono do skroni, świecąc w oczy latarkami. Zaczęto wyjmować rzeczy z walizek klnąc i wygrażając. Nagle w ciemności ktoś zawołał po białorusku: „Czy to pan senator z Czernichowa?” odpowiedziałem – „Ja”. Tenże głos zawołał: „Chłopcy, spokojnie...” Odłożono walizki do wozu, ktoś

---

<sup>1</sup> Armia Czerwona 17 września 1939 r. rozpoczęła agresję przeciw Polsce, łamiąc wiele układów dobrowolnie podpisanych przez rząd ZSRR, m.in. polsko-radziecki układ pokojowy z 1921 r., układ o nieagresji między Polską a ZSRR z 1932 r. i protokół przedłużający jego ważność do końca 1945 r. z 1934 r., pakt Ligi Narodów i inne.

wziął konie za uzdy, wyprowadził wozy przez jakiś rów w pole i powiedział: „Bądźcie spokojni – czekajcie tu świtu, bo gdzieś możecie zginąć”. Tak też zrobiliśmy. O świcie ruszyliśmy przed siebie. Wkrótce spostrzegłem, że jadę w kierunku Kroszyna, za którym o 10 km leżą Baranowicze. Przed Kroszynem spotkaliśmy pędzących pieszo do Baranowicz młodych białoruskich chłopców ze wsi Czernichowskiej, nieco komunizujących. Jednego z nich, bardziej zmęczonego, zawołałem na swój wóz. Przy wjeździe do Kroszyna zostaliśmy zatrzymani przez bolszewickich komisarzy, którzy zagrodzili nam drogę i zaczęli wszystkich legitymować. Wówczas ów podwożony przeze mnie chłopak wyskoczył z wozu i zaczął po białorusku energicznie mówić: „Towarzyszu Komisar, my włościanie z Czernichowa, czego ty od nas chcesz, przepustek ani dokumentów nie mamy, a jedziemy na rynek”. Komisarz machnął ręką i zdecydował: „Dawaj pojeżdżaj”.

W samym Kroszynie chłopak nas opuścił, za to tamtejsi mieszkańcy, chwycili za uzdy konie, zaprowadzili pod plebanię i twierdząc, że nas nie puszcza ani bolszewikom nie dadzą, schowali wozy, konie i rzeczy, a nas samych przygarnął do czystej izby gospodarz Piotr Kobiak. Tylko brat mój Zygmunt Rdułtowski<sup>2</sup> ruszył piechotą, bez grosza w kieszeni, w kierunku Warszawy. My z żoną<sup>3</sup> i córką<sup>4</sup> przez 3 dni byliśmy z wielką gościnnością przechowywani przez Kobiaków i spotkaliśmy serdeczne współczucie u wszystkich mieszkańców Kroszyna. Nawet znany ze swych komunistycznych sympatii Jan Burkowski, powiedział mi, że niezależnie od tego, co będzie, ja jestem potrzebny dla miejscowej ludności i dla kraju i proszą, abym został z nimi, a oni mnie przed komisarzem obronią. Gdy jednak zaczęto orientować się w rzeczywistym stosunku bolszewików, po 3 dniach zaprzężono dwa jednokonne chłopskie wozy i przebranych za wieśniaków przewieziono nas do Baranowicz. Tutaj Żyd Trybuchowski ulokował nas w swoim mieszkaniu, za które nie chciał nawet przyjmować żadnej

<sup>2</sup> Zygmunt Rdułtowski (1882-1975) – brat Konstantego, właściciel majątku Uzmosze w powiecie baranowickim.

<sup>3</sup> Zofia Rdułtowska, de domo Christoff, primo voto Kutrzeba (1905-1985) – żona Konstantego Rdułtowskiego formalnie od 1936 r., faktycznie już wiele lat wcześniej.

<sup>4</sup> Teresa Rdułtowska (ur. 1928) – córka Konstantego i Zofii Rdułtowskich.



Ryc. 2. Czernichów Górny. Na gazonie przed domem – córka Teresa (z warkoczami) i Janina Niezabytowska oraz pies Azorek.

opłaty. Inni Żydzi, np. stary Kurchin, też byli życzliwi, proponowali bezpłatną pomoc, mięso, chleb, sprzęty kuchenne. Uprzedzali o sytuacji. Gdy do Czernichowa dotarła wiadomość, że jesteśmy w Baranowiczach, po kilku dniach zjawilo się kilka kobiet ze służby fornalskiej, przynosząc w ukryciu ser, masło, trochę owoców, i rzucały się z płaczem na szyję mojej żony.

Tymczasem w Baranowiczach sklepy pustoszały. Bolszewicy wykupywali wszystko, podziwiając *bogatuju Polszu*. Ich kobiety nosiły nocne koszule jak najpiękniejsze suknie, a widziałem i takiego, że zajadał smacznie pastę do zębów. Na ulicy stały ogonki. Ludność była skonsternowana. Na rynku, w poniedziałek 25 września 1939 r., jakiś starszy, widocznie zmobilizowany żołnierz sowiecki mówił półgłosem do zebranych dokola niego, odświętnie ubranych parobczaków w błyszczących długich butach: „Myślicie, że wam nie było tu dobrze? Poczekajcie, jak my tu parę miesięcy pobędziemy, to wtedy zobaczycie nędzę”. Rodziny oficerów i urzędników polskich wyrzucano na ulicę, zabierając mieszkania dla bolszewików. Areszty Polaków stały się powszechne. Żydzi ostrzegali mnie, prosili, abym nie wychodził z domu. Staruszka Aleksandra Szalwiczowa przyszła na piechotę do Baranowicz w jednym porwanym szlafroczyku ledwie żywa, po ograbieniu jej majątku w Kołdyczewie. Starsza też osoba, Helena Bochwicowa, ciężko zachorowała kryjąc się w jakiejś jamie w lesie. Obie wkrótce umarły. Natalia Łaskiewiczowa, właścicielka majątku Stajki, z siostrą i córką przyszły boso w oberwanych gałganach. Na wracającego do Baranowicz lekarza Malkiewicza napadnięto na drodze, ograbiono z rzeczy i oficer bolszewicki rozdał bandytom wszystkie jego kosztowne przyrządy lekarskie. Rewizje i areszty następowały jedne po drugich.

## 2. Aresztowanie

W mglisty ciemny ranek 4 października 1939 roku, przed nieduży, drewniany, lecz schludny domek przy ul. Orzeszkowej, nr 23, w Baranowiczach zajechała dorożka zamówiona jeszcze dnia poprzedniego do odwiezienia mnie na dworzec. Podjąłem wreszcie ostateczną decyzję, że pojedę do Wilna, aby rozejrzeć się tam w możliwości zabrania do tego miasta



Ryc. 3. Czernichów Górny. Zygmunt Rdułowski brat autora wspomnień, Jadwiga Giedroyciówna i Otton Ślizień. U dołu – Zofia, żona autora wspomnień, Barbara Ślizienówna, córka Ottona i Teresa Rdułowska (z lalkami).

Zosi i Tereni oraz wyszukać sobie pracę. Projektowałem wrócić w ciągu paru tygodni do Baranowicz.

Dobrowolne rozstawanie się na dłużej z rodziną było dla mnie zbyt ciężkie. Jeżeli zostanę aresztowany, no to już nic nie wskóram, a przypuszczałem, że prędzej czy później nastąpić to musi. Jeżeli nie — dopóki się da będziemy razem.

Zosienka przygotowała raniutko śniadanie, włożyła mi na szyję złoty krzyżyk i medalik — wielką naszą rodzinną pamiątkę, i błogosławiła na drogę. Ucałowałem Jej drogie ręce, odmówiliśmy „Pod Twoją Obronę” i robiąc znak krzyża św. nad główką śpiącej jeszcze Tereni, a mojej Jedynej — wyszedłem z walizką do dorożki. Razem też jechała niejaka p. Czarnocka z Warszawy, która od paru tygodni koło nas się „kręciła” (a była prawdopodobnie szpiegiem sowieckim). Pani Czarnocka (imienia nie pamiętam) trafiła do mego majątku 3 dni przed nadejściem bolszewików jako poszukująca schronienia uciekinierka z Warszawy i zachowywała się w sposób podejrzany. Dopytywała o kierunek dróg, o sąsiadów, wychodziła na trakt i komunikowała się z jakimiś przejezdnymi ludźmi, a 17 września 1939 r., gdy rano ukazały się samoloty bolszewickie, nie tając dobrego humoru ubrała czerwoną chusteczkę i gdy inni chowali się w obawie bombardowania, wybiegła na drogę.

Zosia wyprowadziła nas na ganek; tam Ją ucałowałem i widziałem przez mgłę poranku z odjeżdżającej dorożki, jak stała długo światłem lampy oświetlona, w czerwonym szlafrocisku... W uszach i sercu zostały Jej słowa: „Bez ciebie żyć nie chcę”.

Ulice były puste. Tylko gdyśmy przejeżdżali koło zlikwidowanego już przez bolszewików hotelu „Bristol” i p. Czarnocka poszła po pozostawioną tam swoją walizkę — wybiegł do mnie stary Kurchin, właściciel tego hotelu i wyszeptał ściskając mnie za rękę: „Cokolwiek z panem się stanie proszę pamiętać, że ma pan we mnie zawsze wiernego przyjaciela”.

Na dworcu publiczności bardzo mało, za to moc agentów NKWD<sup>5</sup>, mundurowych i po cywilnemu, funkcjonariuszy

<sup>5</sup> NKWD (ros. Народный Комиссариат Внутренних Дел) — Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych — radzieckie ministerstwo spraw wewnętrznych, obejmujące swą działalnością bezpieczeństwo państwowe, kontrwywiad, policję (milicję) porządkową i kryminalną, ochronę granic, straż pożarną, system więziennie-obożowy. Od 1938 r. na czele NKWD stał Ławrientij Beria.

straży granicznej i milicjantów sowieckich. Pociąg spóźnia się kilka godzin. Nastaje dzień. Przyjeżdża na dworzec wracająca do Wilna, obładowana pakunkami, p. Tomaszowa Szalewiczowa i siedząc z dala ode mnie na ławce rozpoczyna najnieogłędniej w świecie, niemal prowokacyjnie — naturalnie bez kropli złej woli — głośną rozmowę polityczną o aresztowaniach, o Radziwille<sup>6</sup> itp. Czuję, że sprawa jest przesądzona. Czuję i widzę, jak agenci się przysłuchują, dając sobie wzajemnie znaki. Radzę p. Szalewiczowej zmienić miejsce pobytu, a gdy wychodzi na peron i nie może sama udźwignąć rzeczy — pomagam. Po chwili zbliża się do mnie agent NKWD, odprowadza na posterunek dworcowy. Pokazuję dowód osobisty i proszę, aby mnie nie zatrzymywał bez powodu, gdyż jadę do Wilna. Komendant odpowiada mi: „Nie to jest źle, że jedziesz do Wilna, ale, że wiesz ze sobą tę blondynkę, której rzeczy nosiłeś”. Zostaję aresztowany. Nie robi to na mnie żadnego wrażenia, czuję się zupełnie spokojny, zrównoważony, pewny siebie. Po chwili wbiega na posterunek p. Czarnocka, przynosi mi mój koc i zawinięty w nim kożuszek — i żegna czułym uściskiem ręki. Na posterunek, gdzie nikogo nie wpuszczano, weszła z taką pewnością siebie, jakby była bliskim współpracownikiem NKWD. Żaden z funkcjonariuszy o nic ją nie spytał, żaden nie przeszkodził z nią rozmawiać. Utwierdziło mnie to w przekonaniu, że p. Czarnocka była sowieckim szpiegiem.

Po godzinie siedzenia na ławie na posterunku kolejowym zażądałem, by odesłano mnie czym prędzej do Zarządu Głównego NKWD<sup>7</sup>. Wyszukano jakiegoś przygodnego żołnierza i kazano mnie prowadzić. Pierwszy raz w życiu był w Baranowiczach, nie miał pojęcia, gdzie jest gmach b. Ubezpieczalni Społecznej, a dziś Zarząd najgroźniejszej

<sup>6</sup> Janusz Franciszek Ksawery Radziwiłł, książę (1880-1967) — polityk, działacz konserwatywny, poseł i senator; 20 IX 1939 r. aresztowany przez władze radzieckie był więziony w Płoskirowie, następnie w Kijowie i w Moskwie na osławionej Łubiance, gdzie odbył dwie rozmowy z Ł. Berią; tło i sens tych rozmów nie są do dziś jasne, ale najprawdopodobniej Beria sondował możliwość odegrania przez Radziwiłła jakiejś roli politycznej; na skutek interwencji włoskiej rodziny królewskiej za pośrednictwem Berlina, książę został zwolniony i uzyskał zgodę na wyjazd pod okupację niemiecką.

<sup>7</sup> W tym wypadku chodzi o lokalny zarząd (placówkę) NKWD w Baranowiczach.

w świecie instytucji – nie orientował się w niczym. Pomógł mi więc nieść moje rzeczy, a ja za to wskazywałem mu drogę. Gdybym się nie lękał ściągnąć biedy na swoich, mógłbym prawie zająć wówczas do domu albo przynajmniej zostawić walizkę Kurchinowi. Nie chciałem ryzykować szczęścia i spokoju innych. Po dobrej godzinie oczekiwania, wzięto mnie na kilkakrotne moje własne żądanie – na badania. W oddzielnym pokoju siedział przy stole w mundurze kapitana agent NKWD – wysoki i o nieodrażającej powierzchowności – na stole leżał rewolwer (jak się później okazało tak było zawsze) i papiery. Badania NKWD, jak się przekonałem, mają ściśle ustalone metody i system. Więc naprzód zorientowanie się, czy więcej da się „wycisnąć” z delikwenta w grzecznej spokojnej rozmowie, czy też strachem, krzykiem groźbami i biciem. Potem kontrolowanie otrzymanych odpowiedzi przez kilka lub kilkunastokrotne podsuwanie tego samego pytania tylko w innej formie, w różnym czasie i okolicznościach. No i szereg chwytów i sposobów. Wchodzi w to nawet ten rewolwer na stole, a drugi lepiej nabity w kieszeni. Gdy „sledowatiel”<sup>8</sup> wychodzi z pokoju, pozostaje w nim tylko rewolwer na stole i sam aresztowany.

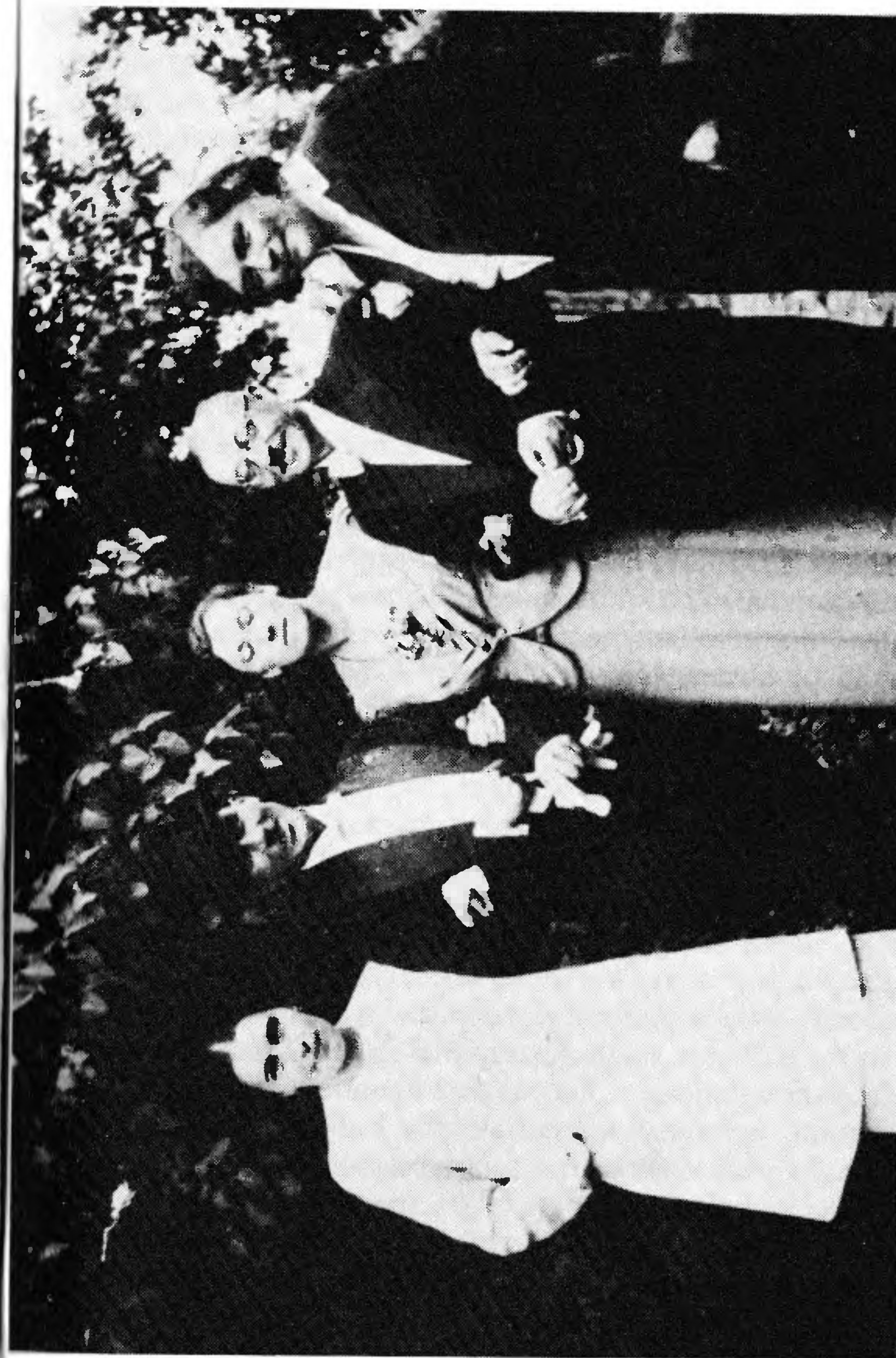
Mnie na szczęście Bóg zesłał względnie przyzwoitego „sledowatiela”, który zastosował metodę badania spokojną i grzeczną. Ten sam prowadził już moją sprawę, tzn. badał mnie co pewien czas, aż do końca, tj. do lutego 1940 r., i ani razu nie słyszałem od niego impertynencji ani groźby.

Pierwsze badanie polegało na ustaleniu moich generalii, wypisaniu krewnych itp., oraz ustaleniu podstawy aresztu. Postawiono mi dwa zarzuty: przez 10 lat byłem członkiem polskiego senatu, i drugi – jako ziemianin eksploatowałem kilkunastu fernali. Badania dwukrotnie przerywano i pod wieczór wiedziałem już, że w nocy będę odesłany do więzienia.

### 3. Więzienie w Baranowiczach

Około godz. 10<sup>00</sup> w nocy wsadzono mnie wreszcie do auta pełnego aresztowanych i konwojentów. Walizkę, którą kapitan „sledowatiel” pozwolił mi zabrać ze sobą i sam wyniósł do auta, zaraz gdy odszedł, żołnierz odebrał i wniósł

<sup>8</sup> Sledowatiel (ros. следователь) – oficer śledczy.



Ryc. 4. Czernichów Górny – czerwiec 1936 r. Zofia Rdułtowska – żona autora, Otton Ślizień (świadek ślubu), Danuta Rdułtowska żona Pawła Rdułtowskiego, Zygmunt Rdułtowski – brat autora (świadek ślubu) i Renia Ślizieniowa żona Ottona

z powrotem do biura. Najbardziej żałowałem jedzenia, które mi Zośka zapakowała na drogę, odejmując od ust sobie i Tereni. Byłem głodny — od świtu nie miałem nic w ustach. Wieziono nas gdzieś przez ulicę Szosową, poza centrum miasta — do więzienia. Po drodze jeden z konwojentów dopytywał, czy nie mam krewnych w Sowietach, bo zna gdzieś koło Pskowa dwóch panów bardzo do mnie podobnych. Nie wspomniałem jeszcze, że każdy z aresztujących, badających czy rozmawiających tylko ze mną Rosjan, zaczynał od tego, że chyba jestem rodowitym Rosjaninem, bo tak dobrze władających rosyjskim językiem Polaków dotąd nie spotykali.

Wreszcie auto stanęło przed bramą więzienną. Po chwili otworzyła się ona i zawarła znowu za nami. Przykry dreszcz przeszedł po kościach. Jak zwykle w ciężkich chwilach zwróciłem się myślą i sercem do Ostrej Bramy — „Pod Twoją Obronę!”<sup>9</sup>.

Kazano wysiąść. Jedna brama żelazna, masywna, oddzielała nas od świata, druga też żelazna, ale ażurowa, od wewnątrz dziedzińca więziennego. Z boku było biuro; tam nas rewidowano, rejestrowano, przydzielano do celi. Po jakiejś godzinie przekroczyłem drugą, ażurową bramę wewnętrzną i byłem wprowadzony do więzienia. Kazano wejść do próżnej wielkiej chłodnej celi i rozebrać się do naga. Rewidowano w ustach, w uszach, pod pachami, jednym słowem wszędzie. Kazano trzymać ręce do góry, przysiąść, podnosić nogi do góry — kpiąc przy tym i wymyślając. Zabrano wszystko: medaliki, obrączki, portfel, fotografie żony i córki. Ciskając na podłogę medalik wykrzykiwano: „Oto twój Bóg!”, dodając najokropniejsze rosyjskie polajanki. Człowiek czuł dreszcze od zimna, wilgoci, głodu i zdenerwowania — ale milczał i myślał — „Dziki bydlę jesteście. Bóg mój kiedyś sprawiedliwość wam wymierzy...” W końcu kazano się ubrać, a z rzeczy oddano jedynie koc i jasiek. Na korytarzu, po ustawieniu kilkakrotnie twarzą do ściany, zatrzymano mnie przed celą nr 8. Zostałem wepchnięty do niej. Za mną stuk zamkniętych się ciężkich drzwi żelaznych i ostry zgrzyt klucza. Owionęło mnie ciężkie, wilgotne, stęchłe powietrze; chwilę stałem przy drzwiach jakby podcięty. Po jakimś czasie

się rozejrzałem. W górze widniało nieduże okno. Przy prawej ścianie stało szereg łóżek czy nar, a na nich leżeli głowami do ściany ludzie. Posłyszałem szept: „Idź pod okno, tam jest miejsce do spania”. Znużony wrażeniami tego dnia padłem na łóżko przy ścianie tak jak stałem i polecając Bogu swoich i siebie zasnąłem jak kamień.

Cela nr 8 wyglądała znośnie, jak w ogóle polskie więzienia. Drzwi obite blachą żelazną, okute z „okiem” oszklonym od strony korytarza zasuwany blachą, przez które co chwilę nas obserwowano. Niezastąpiona, hermetycznie zamykana „parasza”, gdyż wychodzić do ustępu wolno było tylko wszystkim razem rano i wieczorem na rozkaz władzy, idąc do połączonej z nim umywalni. W lewym rogu tuż koło paraszy był piec, palony z korytarza, na prawo od drzwi ławka, nad nią wieszaki, wzdłuż ściany 6 łóżek siatkowych na żelaznych ramach, podejmowanych na zawiasach ku ścianom. Po drugiej stronie 2 łóżka. W ścianie poprzecznej wysoko umieszczone okno, pod nim stół i ławka. Podłoga drewniana, malowana. Ogólny wymiar wynosił ok. 5 × 7 m.

Zaznajomienie się z kolegami-więźniami nie trwało długo. Tuż obok mnie lokował się Adam Lenczewski-Samotyja z Soczywek, gmina Stołowicze, w moim wieku, lecz zdrowy, barczysty i silny staruszek. Rad byłem go widzieć jako znajomego od dawna i porządnego człowieka. Rodem z okolicy Stołpców, tam przeszedł nauki w jakiejś szkółce rosyjskiej i został telegrafistą kolejowym. Oszczędny, pracowity, po zdobyciu jakichś pieniędzy, może z posagu żony lub pożyczki, kupił piękny, lecz zniszczony zupełnie podczas wojny folwark Soczywki, dawniej własność Jezierskich, a że trafił na okres dewaluacji dostał go za bezcen. Gospodarzył doskonale, wzorowo. Sam z parobkami stawał do siewnika, do pługa; pracował z zakasanyimi rękawami i wszyscy u niego tak pracowali. Po polsku mówił bardzo zabawnie, z ruska „po kresowemu”. Co kilka słów, ni w pięć, ni w dziesięć, pakował ulubione: „W ta pora”. Lubił grzać się przy piecu. „Cóści dzisiaj chłodna ta piec. Musi w ta pora czorty te jej nie natopili” — perorował — „Ot niechaj mnie jutro pozwoło, sam drzewka nakole i sam natopie. W ta pora zobaczycie, co znaczy się piec gorońca”. Tego rodzaju dialogi słyszeliśmy stale. Było z panem Adamem kilka zabawnych epizodów. Raz w zimie kazano wynieść na dwór sienniki i zmienić słomę na nową, co prawda zmieszaną ze śniegiem, lecz świeżą. Pan

<sup>9</sup> Ostra Brama — brama miejska w Wilnie, w której znajduje się kapliczka z obrazem Matki Boskiej, tzw. Ostrobramskiej, pochodzącym z 2 poł. XVI w.

Adam niósł swój siennik przed sobą i widocznie zapomniał włożyć paska do spodni — dość, że podczas tej procesji z siennikiem nagle pozostał na korytarzu zupełnie bez dolnej części ubrania, które mu zjechało na ziemię! Prócz p. Adama byli jeszcze w mojej celi: Schmidt — młody inteligentny i sympatyczny urzędnik z Łomży, aresztowany w trakcie, gdy szukał zagubionego dziecka. Drugi najinteligentniejszy ze wszystkich, w sile wieku, wysoki, przystojny, inż. Gosławski z Białowieży — nadleśniczy. Odcytany, znający języki, trzymał się godnie i innych podtrzymywał na duchu. Rozmawialiśmy z nim o drzewach i zwierzętach Białowieży. Znałem jego leśnictwo, nawet podczas objazdu Puszczy z komisją senacką byłem w jego leśnictwie, podejmowany śniadaniem przez jego żonę, gdy on sam był wtedy nieobecny. Jego też wkrótce od nas zabrano. Na łóżku nr 2 był jeszcze młody por. Magiera, wysoki, cichy, milczący — był przydzielony do Junaków. Wracając od nich zaszedł do narzeczonej, panny Rowińskiej w Lachowiczach — córki pisarza gminnego, i tam go aresztowali. Był też nauczyciel Pulkowski z Małachowców, wyznaczony starostą celi. Ten słabo się trzymał. Wyrzekał na swój los nieszczęsny. Mówił, że ofiarował swą pracę Sowiетom, że miał uczyć po rosyjsku (trzeba dodać, że dwóch słów nie umiał poprawnie powiedzieć po rosyjsku), że byłby służył bolszewikom z całym oddaniem, ale oni mimo to słuchali fałszywych doniesień i niesłusznie go aresztowali. Narzekał, jęczał po nocach, wpływał deprymująco na innych. Nic dziwnego, że pod boki takiego nauczyciela w Małachowcach prosperowała „Jaczejka komunistyczna”<sup>10</sup>. W połowie października na miejsce osób zabranych, do celi przybyli: osadnik Paszkowski z Lachowicz i chłop Paszko ze wsi Czwyry, gm. Darnowsko, oraz telegrafista kolejowy z Baranowicz — Golc. Paszkowski wysoki, z rzyżymi dużymi wąsami, typ Podbipięty, zacna dusza i dobry Polak. Golc — nerwowy, zarozumiały małego wzrostu brunet. Ze zdenerwowania wychodziły mu włosy, tak że po paru tygodniach był kompletnie łysy. Lecz o dziwo — po paru miesiącach włosy odrosły na nowo. Ulubionym tematem były jego sny i żądania ich tłumaczenia. Niemal codziennie śnił, że bił żonę lub syna. Dla mnie co najmniej te sny

<sup>10</sup> Jaczejka (ros. ячейка) komunistyczna — popularne wówczas określenie komórki organizacyjnej partii komunistycznej.



Ryc. 5. Czernichów Górny — żona K. Rdułtowskiego wraz z córką Teresą i Sławkiem Rdułtowskim, synem Pawła Rdułtowskiego. (1936 r.)

świadczyły o poziomie tego, co je do wiadomości ogólnej podawał.

Złe i niebezpieczne typy w naszej celi, to był Żyd Kapcan i chłop białoruski Paszko. Kapcan — rodem z Siedlec — rzeźnik baranowicki, człowiek ok. 40 lat, zdrowy, wypasiony, miał się dobrze w Polsce. Rzekomo w 1919 czy 1920 roku zapisał się na ochotnika do armii polskiej, wobec czego należał do Związku Żydów Ochotników i korzystał z poparcia i opieki przedstawiciela tego Związku przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. Dzięki temu należał do „dwójki”<sup>11</sup>, w magistracie baranowickim miał posadę w zakresie rzeźnictwa, rznął nielegalnie bydło w prywatnych chlewach, sprzedawał pokryjomu mięso, drwił z policji, prokuratury i sądów, bo przez znajomości wyrabiał odroczenie nakładanych kar. Zaprzysiął, że ani grosza nie wpłaci nigdy do kasy państwowej polskiej, a tylko przyjmuje „odsiadywanie kary”, ale od tego też się wykręca. Siedział jednak kilka razy i przeklinał polskie władze więzienne. Opowiadał o stosowanych sposobach szachowania funkcjonariuszy PP<sup>12</sup>, o stosowaniu metod prowokacji. Kapcan nie wierzył w odrodzenie Polski, więc mówił o wszystkim śmiało. Z Polski żył, na niej gdzie mógł zarabiał, prawie zawsze nielegalnie, lecz w gruncie rzeczy jej nienawidził, udawał jednak chyba z przyzwyczajenia, że jest Polakiem. Raz, gdy był zdenerwowany brakiem machorki, z powodu błahej sprzeczki wybuchnął szczerze: „Was psów Polaków nienawidzę!” — krzyczał — „Ja was potopię, ja wszystko doniosę Sowietom, co wy myślicie i mówicie!”. Razem z Paszko donosili naczelnikowi więzienia i towarzyszącemu mu „politrukowi”<sup>13</sup> o tym co się dzieje w celi. Kapcan raz przyznał mi się pod sekretem, że naczelnik i „politruk” najbardziej interesują się moją osobą. Dodał przy tym, że on sam powiedział o mnie tylko tyle, że jestem Polakiem patriotą, ale że to Paszko „sypie” i mówi co wie i czego nie wie.

Paszko rzeczywiście był całkowicie na usługach NKWD. Ten młody chłop prawosławny był przykładem krótkowzrocz-

<sup>11</sup> „Dwójka” — potoczne określenie II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, który zajmował się wywiadem i kontrwywiadem.

<sup>12</sup> PP — Policja Państwowa, tzw. granatowa.

<sup>13</sup> Politruk — kierownik polityczny, tu: pracownik polityczny kierownictwa więzienia.

ności i głupoty naszych władz, które go miały za konfidenta, wciągnęły do „Dwójki” (za co był aresztowany), zrobiły sołtysem, pomogły założyć sklep spożywczy we wsi Czwyry i prywatną mleczarnię. Sam mówił, że bogacił się i żył dobrze. Ale jednocześnie mówił, że nigdy polskim władzom nie ufał i że najwyższym „zaszczytem” będzie włączenie go do Sowietów. Mówił dobrze i czytał po polsku, ale znał też dobrze język i literaturę klasyczną rosyjską. Miał nadzieję, że będzie prędko wypuszczony z więzienia, a na razie zajmował się szpiegowaniem celi i donosicielstwem. Był zdeklarowanym do głębi wrogiem Polski.

Podczas mego pobytu w celi, dokonywały się tam nie-duże zmiany w składzie więźniów. Przybył inteligentny i miły człowiek w sile wieku Kisiel, komornik z Warszawy. Bardzo go polubiłem, a że mówił dobrze po francusku, prosiłem go o godzinę dziennie konwersacji w tym języku. Zazwyczaj wieczorem, gdy inni leżeli, chodziliśmy po celi rozmawiając. Opowiedział mi dużo ciekawych rzeczy. W czasie rewolucji rosyjskiej w Petersburgu stracił rodziców. Jako podрастаjący młodzieniec, mając dobry głos, skorzystał z okazji, że angażowano w ówczesnym już Leningradzie artystów rosyjskich i chór dla wystawienia w Paryżu opery, przystał do nich i wyjechał do stolicy Francji. Opera dawała przez cały sezon bajki rosyjskie operowe w Paryżu, z wielkim powodzeniem. Na następny sezon wyruszył z całym zespołem do Ameryki Południowej i Meksyku. Nieporozumienia między głównym przedsiębiorcą a współnikami doprowadziły do zlikwidowania teatru. Wraca wówczas do Paryża i występuje jako samodzielny artysta we Francji. Gra poważną rolę solową w operze w Nicei. Odwiedza niektóre miasta w Hiszpanii, w Turcji. Opowiadał o życiu w tych krajach, o Paryżu, Buenos Aires, Meksyku, Ankarze, o walekach byków w Hiszpanii itd. Dużo ciekawych rzeczy posłyszałem wtedy. Odszukał go jego stryj, lekarz z Warszawy, sprowadził do siebie, gdzie dostał posadę komornika sądowego. Stryj umarł pozostawiając córkę Zosię, młodą pannę, o której często myślał i śnił mój przyjaciel. W samą wigilię Nowego Roku kazano p. Kisielowi zabrać rzeczy do wyjazdu. Koledzy winszowali mu, że będzie zwolniony. Po kilku jednak miesiącach dowiedziałem się, że tego właśnie dnia wysłano z Baranowicz cały transport więźniów w głąb Rosji.

Był też inny niemiły, czasowo wcielony do naszej celi Polak — p. Kowalewski, technik, a nazywano go „inżynierem”. Był kierownikiem elektrowni w Baranowiczach, a ostatnio w Stołpcach. Gadatliwy — co chwilę podniesionym głosem wychwalał Sowiety, ich „doskonały ustrój”, opiekę nad ludźmi pracy, do których i siebie zaliczał. Głosił, że z całym oddaniem chciałby dla takiego państwa pracować. Gdy nie mogąc wytrzymać słuchania o służalczości tego człowieka względem tych, co go zaparli do więzienia, powiedział wręcz, co o tym myślę — Kowalewski odrzekł, że robi to z przekonania i w nadziei, że władze sowieckie go wypuszczą, gdy dowiedzą się o jego sympatiach. I znów rozpoczął swe hymny pochwalne. Wstyd było go słuchać.

Pełne godności natomiast było zachowanie młodego kilkunastoletniego chłopaka Michasia — syna nieżyjącego już robotnika z fabryki dykty „Olza” w Miklaszewiczach. Bardzo pobożny, dobry Polak, dobrze wychowany, grzeczny — nieraz starał się mi usłużyć: latał bieliznę i naprawiał obuwie. Nieraz w okresie Bożego Narodzenia nucił półgłosem kolędy, w czasie Adwentu i Wielkiego Postu „gorzkie żale” „Wisi na krzyżu” itd. Aresztowano go z kilkoma kolegami jako podejrzanych o wyrwanie z książek i zniszczenie fotografii Stalina i innych dygnitarzy sowieckich, książek dostarczonych przez Rosjan po okupowaniu Miklaszewicz do czytelnicy fabrycznej. Szkoły polskie przy fabryce zostały zamknięte, cały olbrzymi zapas bardzo cennej dykty wywieziono w głąb Rosji. Fabrykę uruchomiono i cały jej przerób natychmiast zabierano. Z innych typów, które się przez naszą celę przewinęły, był chłop białoruski Michał K., który mając zniszczone zabudowania po wojnie światowej mieszkał u nas w Czernichowie Górnym i pracował jako pomocnik furmana. Siedział za to, że będąc milicjantem gminnym sowieckim, podchmielony skrytykował ubiór Stalina na portrecie i zapytał, czemu to polski marszałek Piłsudski i prezydent byli tak ładnie ubrani, a Stalin tak brzydko? Dodał podobno przy tym jakieś niecenzuralne zakłęcie.

Był jeszcze inteligentny Żyd z Żołudka — Zajac — złapany na granicy, gdy chciał się przedostać do Wilna<sup>14</sup>.

<sup>14</sup> Układ radziecko-niemiecki z 28 września 1939 r. wprowadził zmiany do ustalonych w protokole do paktu Ribbentrop-Mołotow rozstrzygnięć terytorialnych. Moskwa przekazała Niemcom woje-

Był szewc z Wilna, który znowu szedł na stronę zajętą przez Rosjan po zostawieniu tam u babki swych małych dzieci. Ten był bardzo zabawny, rozmowny i w szewsko-wileńskim języku opowiadał śmieszne, charakterystyczne dla życia drobnego rzemieślnika epizody. Można by z nich całą powieść napisać. Do Polski przywiązany, zaborcami gardził otwarcie. Byli i inni jeszcze, ale krótko i mniej ciekawi.

Wśród tego towarzystwa przeszło pierwsze półrocze mego osamotnienia. Bo wśród ludzi siedząc, czułem się samotny. Myśl moja i tęsknota ciągle zwracała się ku Zosi i Tereńki, niepokój o życie brata Zygmunta dręczył ustawicznie. Póki był Magiera — chodziliśmy z nim gęsiego po celi: 7 kroków wprzód i tyleż z powrotem ku drzwiom od okna, robiąc tak według ścisłego obliczenia po 5 km dziennie. On szedł niby do Lachowicz do swej narzeczonej, ja — do Zosi na ul. Orzeszkowej, nr 23.

Życie było monotonne i jednostajne. Co dzień rano o godz. 6 dozorca otwierał drzwi i wołał: „wstawać!” Potem w kilka minut celę prowadzono do umywalni połączonej z ustępem, tam też wynosiliśmy napelnioną przez noc „paraszkę”. Ja co dzień myłem się do pasa, nie wyłączając zimy. Potem w celi robiłem przez kilka minut gimnastykę — ale nikt więcej mnie nie naśladował. Sądzę, że zimna woda, gimnastyka i codzienny spacer w celi podtrzymywały mnie fizycznie, a gorąca modlitwa za swoich i siebie — na duszy. Temu też chyba zawdzięczam, że trzymałem się najmocniej i najlepiej w całej celi, choć poza Leńczewskim byłem najstarszy.

Nad łóżkiem wyskrobałem sobie po kryjomu znak krzyża. Uprzednio w każdej celi wisiał krzyż z wizerunkiem Chrystusa; i u nas znak po nim nad oknem pozostał. Bolszewicy zdjęli je i połamali. Część spalili, a część w ustępie rzucili na podłogę. Kaplicę też zrujnowali, ołtarz, krzyże, obrazy połamali, podarli, a kaplicę przerobili na cele. Po sprzątnięciu celi dostawaliśmy po kawałku czarnego chleba,

wództwo lubelskie i część warszawskiego, a w zamian III Rzesza uznała włączenie niepodległej jeszcze wówczas Litwy do radzieckiej strefy wpływów. W konsekwencji Stalin mógł 10 października 1939 r. narzucić Litwie układ o „wzajemnej pomocy”, umożliwiający ZSRR tworzenie na terenie państwa litewskiego baz wojskowych. Na mocy tegoż układu ZSRR przekazał Litwie okupowaną dotąd Wileńszczyznę wraz z Wilnem.

pół godziny później herbatę — właściwie po kubku wody gotowanej, zaprawionej jakąś mieszanką liści, ziół i owoców. Około południa przynoszono w wiadrach obiad. Zupa rzadka, wodnista, albo kapusta lub trochę pęczaku. Pierwsze mi szkodziło, do drugiego miałem wstręt. Teraz były dla mnie przysmakami. Takie żywienie nie trwało jednak długo. W początku grudnia zniesiono drugą potrawę w obiedzie, a na wieczór zamiast zupy dawano gotowaną wodę. Od czasu do czasu pozwolono na przesyłki z miasta od rodziny z niedużą ilością produktów spożywczych. Kapcan otrzymywał co tydzień sporą paczkę. Ja pod koniec października dostałem od mojej Zosieńki przysmaki: resztę zapasów z Czernichowa, które dla Niej i Tereńki zostały w naszym baranowickim mieszkaniu. Był tam kawałek sera litewskiego, wędliny i coś jeszcze, czego już nie pamiętam. Radość, że to dar od Niej, że Jej ręce tego dotykały, pakowały i żal, że sama z Tereńką głodne, oddają mi to co miały — wyciskał mi łzy. Położyłem się z twarzą do ściany, by koledzy tych moich łez nie widzieli. Po pewnym czasie żywność zabroniono przyjmować. Czasami tylko dopuszczano machorkę. Zosia, choć wiedziała że nie paliłem, przysyłała co pewien czas paczkę machorki i zapalki jako znak widomy, że o mnie pamięta i zapewne dla stwierdzenia czy jeszcze jestem w Baranowiczach.

W listopadzie niespodziewanie otrzymałem 4 paczki machorki i 4 pudełka zapalek. Nie mogłem zrozumieć, co to może być. Machorkę wysypywano nam na stół, bo żadnego papierka nie wolno było mieć w celi, ale zapalki zostawiano w pudełkach. Dwa dni przyglądałem się im bacznie, wreszcie wypatrzyłem jakieś znaki zrobione paznokciem czy czymś ostrym. Na jednym pudełeczku jakby Z. R. a na drugim T. R. i coś na dwóch innych. A więc to Zośka i Terenia dają mi znać o sobie. Potem długa nieskończenie przerwa — milczenie. W lutym przesyłka odzieżowa: walonki, czapka włóczkowa, kamizelka ze starego kilkudziesięcioletniego płaszcza Mamy, w którym była otulona Tereńka przy ucieczce z domu, jeszcze rękawiczki i skarpetki z wełny, którą z Zosią kupiliśmy w przedzalni w Baranowiczach. Wszystko to przesłane przez Dziunię Rdultowską. Ogarnęła mnie trwoiga i przerażenie, co stało się z Zosią. Czemu ona tego nie przesłała? Może chora, aresztowana? Może uciekła? Modliłem się o to ostatnie, ale dopiero w rok później otrzymałem

autorytatywne wieści o ucieczce Zosi i Tereni przez „zieloną” granicę do Warszawy<sup>15</sup>.

W naszym życiu więziennym dużą przyjemnością były tzw. spacery na świeżym powietrzu. Niestety, odbywały się rzadko; czasami co drugi dzień, czasami co dziesięć dni wyprowadzano nas z celi parami na dziedziniec, zabraniając rozmawiać, obracać się w tył i patrzeć na boki. Jeżeli przez dziedziniec prowadzono kogoś z aresztowanych, nas ustawiano twarzą do muru i nie pozwolono ruszać się ani spoglądać w jego stronę. Na razie spacery trwające 10 minut odbywały się wokół klombów kwiatowych po drózkach zwirowanych. Polskie bowiem więzienie wewnątrz było wzorem czystości i porządku, a na zewnątrz otoczone żywopłotami z morw, których liście zbierano do żywienia jedwabników w zakładzie więziennym. Więzienie miało swoje gospodarstwo, doskonale prowadzone, dające większość produktów na własne jego potrzeby i na poprawę w utrzymaniu aresztowanych. Wydzierżawiano podmiejski folwark Uznogi, który dostarczał zboże, warzywa, mleko, ziemniaki i mógł służyć za wzór do naśladowania. Hodowano trzodę chlewną na słoninę i mięso, króliki, ptactwo, jedwabniki. Poza tym był szereg warsztatów, gdzie pracowali aresztowani; szewcy, krawcy, stolarze itp.

Bolszewicy zniszczyli to wszystko. Po paru miesiącach klomby były zdeptane, morwy i drzewka wyrąbane, jeszcze przed tym cały inwentarz i zapasy zabrano lub zniszczono. Umywalnie i ustępy popsuto, rury doprowadzające tam wodę i odprowadzające nieczystości popękały. Codziennie trzeba było w zimie iść do ustępu po podłodze cementowej, zalanej na kilka centymetrów brudną wodą, a potem kolejny dyżurny wnosił tę wodę wiadrzem na dwór do zlewu i podłogę wycierał jeszcze brudniejszą szmatą. Przy tym brudnym zlewie, gdzie wypróżniano też „paraszki”, zrobiona została

<sup>15</sup> Przez tzw. „zieloną granicę” przemieszczały się między okupacją niemiecką i radziecką znaczne ilości ludzi. Na zachód starała się przedostać część uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski — ci ludzie pragnęli wrócić do swych domów, zwłaszcza po pierwszych doświadczeniach kontaktów z systemem radzieckim. Uciekali też ludzie osobiście zagrożeni represjami NKWD. Na Węgry, do Rumunii i na Litwę starali się przedostać żołnierze, oficerowie i inne osoby usiłujące dotrzeć następnie do Francji, gdzie formowało się polskie wojsko. Znaczna część tych ludzi trafiała ostatecznie do radzieckich więzień, tworząc grupę tzw. graniczników.

niewielka zagroda, otoczona wysoką ścianą z desek i zamykana. Tam, poczynając od listopada wyprowadzano nas na spacer; dozorca stał pośrodku, a my na jego komendę chodziliśmy dookoła przy ścianach. W dni odwilży podpływała tam woda i zapachy zatruwały powietrze, w zamiecie śnieg zasypywał całą zagrodę i spacer się nie odbywał. Wówczas prosiłem, aby brano mnie do odkopywania śniegu.

Wielką przykrością były też sporadyczne rewizje. Mniej więcej raz w miesiącu kazano nagle i niespodziewanie wszystkim wychodzić z celi i prowadzono do zimnej i pustej izby więziennej, gdzie w obecności całej gromady dozorców kazano rozbierać się do naga i poddawano każdego z nas, jego bieliznę, odzież i obuwie dokładnej rewizji. Szukano w ustach, pod pachami, między palcami, jednym słowem — wszędzie. Obcinano guziki metalowe, haftki, haczyki i wrywano przy tym kawałki ubrania. Jednocześnie kilku drabów przeszukiwało celę, która po powrocie wyglądała jak po trzęsieniu ziemi. Poprute sienniki, wszystkie rzeczy rzucone na jedną kupę na podłogę. Wówczas kazano każdemu odszukać swoje rzeczy, dawano 1 igłę dla całej celi na godzinę, aby zeszyć sienniki, uporządkować i zamieść celę.

Denerwujące były też badania. Prowadzono je zwykle w nocy. Pod strażą 4 uzbrojonych żołnierzy odwożono kilku więźniów do siedziby NKWD w mieście. Badający mnie „sledowatiel” lubił skierowywać rozmowę na tematy polityczne. Raz mi powiedział: „Wmawiano w nas, że Niemcy są naszym wrogiem, a teraz wiemy, że to nasz przyjaciel, a Anglia i Francja i ich sojusznicy to prawdziwi wrogowie”. Odpowiedziałem mu, że jako obywatel polski i więziony przez Rosjan nie mam prawa dawać mu rad, ale chcę żeby kapitan przypomniał sobie moje słowa, gdy ten „przyjaciel” napadnie na Sowiety. Zamyślił się, a po dłuższej chwili powiedział: „No cóż, nie będziemy już o tym mówić”. Dopytywał się wielokrotnie do jakiej partii należę. Odpowiadałem, że jestem polskim patriotą, zwolennikiem marszałka Piłsudskiego i bezpartyjnym. Powiedziałem, że zapewne dlatego nie chce wierzyć, że u nich wszyscy muszą być komunistami. Podskoczył na to i oświadczył, że się myślę, że u nich tylko znikomy procent ludności należy do komunistów. Powiedział mi też, że został aresztowany przez nich przywódca socjalistów w Baranowiczach — Machaj. Wyraziłem zdziwienie dlaczego aresztują socjalistów i komunistów, których kiedyś władze polskie

oskarżały o działalność wywrotową? „Bo uważamy ich za najpodlejszych prowokatorów” — odpowiedział. Tego rodzaju rozmowy przy badaniach zdarzały mi się dość często. Mnie ciągnano na badania około 10 razy; trwało to przez październik, listopad, grudzień, styczeń i skończyło się w lutym. Badania politycznej natury lepiej znosiłem; czułem się w tej dziedzinie o wiele mocniejszy od tego, który mnie bada. W sprawie zarzutów „burżuazyjności” gorzej było się dogadać. Tu „sledowatiel” stał na gruncie komunistycznym i nic nie pomogły wyjaśnienia, że jeśli zrobiłem coś złego, nie według prawa w Polsce, to tylko władze polskie mogą mnie za to sądzić, czy karać. W końcu ja zrozumiałem, że NKWD stworzyło *ad hoc* teorię własną, że komunizm jest ponad granice państw i każdego, kto nie stosował się do jego wymagań gdziekolwiek bądź, choćby w najbardziej kapitalistycznym kraju — ma prawo karać<sup>16</sup>. Czułem czasem, że sami rozumieli, że tłumaczenie to jest nieszczerze i naciągane — ale wojować nie było po co.

W końcu w lutym oświadczone mi, że badanie skończone. Prosiłem „sledowatiela” o wyjaśnienie, co mają dalej ze mną robić. Odrzekł, że będzie sąd, który zapewne zawyrokuje mi „zmianę klimatu”, tj. wywiezienie z kraju. Pożegnałem go, co widać było dla niego wielką niespodzianką, bo złożył mi życzenia, by mi było możliwie najlepiej i by się wszystko dla mnie szczęśliwie skończyło.

Izba, w której trzymano w zarządzie NKWD przywiezionych na badania, była miejscem spotkania i porozumienia z więźniami zamkniętymi w innych celach. Zwłaszcza, gdy pilnujący dozorca był „dobry”, można było sobie szeptem podawać wiadomości. Dowiedziałem się w czasie tych wszystkich badań, że w tymże więzieniu siedzą Kazio i Stefan Rdultowscy, Mierzejewski, Kotarbiński, Kotłubaj, Kollataj, Raciborski, dwóch braci Woroncowych, drugi Lenczowski kuzyn Adama, Wolnik, Szulwiczowa, Machaj, Sękowski, kilku wójtów i policjantów znajomych, kilku urzędników magi-

<sup>16</sup> Prawodawstwo radzieckie traktowało jako przestępstwa działania przeciwko masom pracującym poza granicami państwa radzieckiego. Ośławiony artykuł 58 Kodeksu Karnego FSRR obejmował m.in. przestępstwa kontrrewolucyjne polegające na walce z międzynarodowym ruchem robotniczym czy wspieranie międzynarodowej burżuazji.

stratu baranowickiego. Dowiedziałem się też, że zamordowano młodego Haciskiego, Łataka i kilku osadników, gospodarzy polskich z pod Lachowicz. Że wójt Orzechowski siedzi w więzieniu, a żona jego zwariowała, bo dowiedziała się, że jej ojca zamordowano, a brat z rozpaczycy rzucił się pod tank. Potem była też wiadomość, że Augusta Sokołowicza z Podlesiejk z żoną i siostrą zabito, że Zygmunt Czarnocki, Łopott i Krahelski uciekli.

Po skończeniu badań fotografowano nas, brano odciski palców, wreszcie założono dla każdego z osobna tzw. „licznoje dzieło”, czyli „sprawę osobistą”<sup>17</sup>. Sporządzanie tych akt rodziło przypuszczenie, że wkrótce coś z nami mają wreszcie zrobić. Wielu marzyło o prędkim zwolnieniu. Ja byłem przekonany, że żadnego sądu nie będzie, a wywiozą nas w głąb Rosji.

Nasze przypuszczenia o zmianie potwierdzały szeptane niedomówienia przez Żydka fryzjera, który przychodził co 10 dni z miasta, strzygł nam głowy i twarze najniższym numerem maszynki; tylko wąsów nie dałem zgolić, ani jemu, ani później do końca, choć w obozie pracy ciężkie musiałem w ich obronie toczyć walki. Tymczasem w oczekiwaniu wyjazdu usiłowałem zetknąć się z Kaziem Rdułtowskim, ale na próżno. Porozumiewać się przez ścianę było trudno, bo straż podsłuchiwała, ale próbowano, jak to tylko było możliwe. Do rozmów przez ścianę używano alfabetu Morsa albo częściej pięciorzędowego i pięcioszeregowego, tak ułożonego:

	1	2	3	4	5
I	a	b	c	d	e
II	f	g	h	i	j
III	k	l	m	n	o
IV	p	r	s	t	u
V	w	x	y	z	ż

Wpierw wystukiwano mocniej i rzadziej nr szeregu, potem słabiej i prędzej rzędu i tak dalej dla każdej litery oddzielnie.

<sup>17</sup> Licznoje dzieło (ros. личное дело) — sprawa personalna (osobowa)

Tak zszedł nam czas do końca marca 1940 roku. Tęsknota dławiała, serce ciągnęło do swoich, do Zosi i Tereni. Czasami budząc się w nocy całowałem jasek z monogramem naszej małej kochanej dziewczynki. Śniłem je obie. Śniła mi się też często Matka. Śnił mi się Czernichów, pieski Azorek, Nora i Karo. Bociany witające mój powrót, konie i ludzie, którzy tam pracowali. Sny te dobre, modlitwa i myśli o Tobie Zosieńko Ukochana, były dla mnie pokrzepieniem i podtrzymaniem na duchu.

Wreszcie w Wielki Piątek wieczorem większej części więzionych w naszej celi kazano się ubrać i z rzeczami wyprowadzono na korytarz. Tu stał już długi łańcuch ludzi. Od razu stanąłem obok Kazia i Stefana. Wyglądali nieźle — trzymali się. Poprowadzono nas do łaźni, poddano rewizji, przetrzymano długo przy załatwianiu różnych formalności i gdzieś w środku nocy wyprowadzono czwórkami pod mocną eskortą z nabitą bronią w rękę z więzienia na tor kolejowy.

Więzienie znajduje się tuż przy torach — po jednej jego stronie idzie linia kolejowa Baranowicze — Brześć, po drugiej Baranowicze — Białystok. Prowadzono nas więc do pociągu tylko kilkaset kroków, ale przez ten krótki kawałek drogi kazano klękać, padać do kałuż wody lub topniejącego śniegu pod groźbą rozstrzelania. Najmniejsze wychylenie się z szeregu też groziło rozstrzelaniem. W końcu załadowano po 60 osób do towarowego wagonu, dano chleb i zamknięto wagon na kłódki, przy każdym stał żołnierz z bronią w pogotowiu. Ja byłem ze wszystkimi znajomymi, więc powitaniami i rozmowom nie było końca. Tak przesiedzieliśmy całą sobotę. Pociąg nie odchodził. Jedzenia nie dawano — byliśmy głodni. We wszystkich wagonach zaczęły się krzyki, bicie w ściany, groźby, wołania „dajcie chleba!”. Słyszeli to kolejarze i przechodnie. Zaczęły zbierać się gromadki ludzi. Usunięto ich, a nas obiecano nakarmić. W wagonie przeszła Noc Rezurekcyjna, Noc Zmartwychwstania Pańskiego. Nazajutrz ok. 10 rano, gdy głodny pociąg hałasował i domagał się chleba, otworzono wagony, ustawiono nas w szeregi i odprowadzono z powrotem do więzienia, do dawnych cel. Pozostający tam aresztanci przyjęli nas radośnie — częstowali boczkiem, jajami, serem, które im przysłała rodzina. Zupa na obiad też była lepsza. Tak zeszła pierwsza Wielkanoc w niewoli. Wspomnę też o pierwszych Świętach Bożego Narodzenia. Matka najmłodszego z naszych kolegów z celi, Michasia z Mikłaszewicz,

przywiozła mu trochę bielizny i parę białych pszennych bułeczek. Jedną z nich schował na wieczerzę wigilijną zamiast opłatka. Wieczorem, nie jedliśmy swojej zupy każdy oddzielnie, lecz postawiliśmy wszystkie miski na stole przykrytym ręcznikami. Ja odmówiłem „Ojcze Nasz” i dzieliłem bułeczkę składając życzenia. Pocałowaliśmy się wszyscy nie wyłączając Kapcana i Paszki. Potem przemówiłem słów kilka, składając więźniom-kolegom życzenia i naszym rodzinom, Ojczyźnie, wierząc, że przez kraty więzienia dojdą one do serc tych, którzy myślami są z nami. Po zjedzeniu zupy zaśpiewaliśmy cichutko kolędy, za co naturalnie byliśmy strofowani przez dozorców. Udawali oni jednak, że ani przemówienia, ani całej naszej uroczystości nie słyszeli i nie widzieli. W dniach świątecznych i przyjaciele moi, o których dotąd zapomniałem powiedzieć, mieli się lepiej. Była to rodzina wróbelków, które w mroźną i śnieżną zimę 1939/40 roku karmiłem okruszynami chleba, wysypując je przez okienko na parapet. Była to czynność bardzo skomplikowana i zabroniona — ale na ten czas, gdy stawialiśmy ławkę na stole i z niej rzucałem okruszki ptaszkom, jeden z kolegów zakrywał plecami „szklane oko” w drzwiach, aby dozorca nie mógł zobaczyć.

W więzieniu baranowickim przetrzymano nas jeszcze tydzień. W następną sobotę załadowano nas znowu, po odbyciu wszystkich, ale przyspieszonych ceregieli, do towarowych wagonów stojącego już pociągu, w skład którego wchodziły też wagony z więźniami z Grodna, Sokółki i Wołkowyska. W niedzielę pociąg ruszył w kierunku Mińska. Na przejeździe kolejowym Kazio wyrzucił kartkę z naszymi nazwiskami w nadziei, że dojdzie do rodzin wiadomość o naszym wyjeździe. Jechaliśmy przez znane nam miejscowości. Przez szczelinę w ścianie wagonu widziałem Kroszyn, Mech, Uzmosze, Juskiewiczze, gaiki i lasy czernichowskie, Pogorzelce. W Kroszynie drzwi od kościoła były otwarte, a przed wejściem na schodkach modliła się jakaś kobieta. Westchnąłem do Stwórcy, aby dał mi jeszcze możliwość razem z moimi najdroższymi modlić się w tej świątyni, gdzie jest wmurowana tablica pośmiertna Mojej Drogiej Matki, gdzie się ślub nasz odbył, gdzieśmy się z Zośką modlili na chórach podczas wyświęcenia kościoła, przy świętobliwym biskupie Zygmuncie Łozińskim, którego opicce i łaskom codziennie w modlitwie moich i siebie, Ojczyznę i diecezję naszą polecałem. W wagonie było ciasno i przykro, ale lepiej niż w więzieniu.

Najprzykrzejsze było to, że czynności naturalne trzeba było załatwiać publicznie, przy wszystkich, do rynienki zbitej z dwóch obrzynków deseczki, której drugi koniec był wysunięty na zewnątrz wagonu, przez dziurę przerebaną w drzwiach. Naturalnie powietrze w wagonie było czasami fatalne. Nazajutrz, 1 kwietnia 1940 roku rano, pociąg nasz przybył do Mińska i stanął w pewnej odległości od dworca.

#### 4. Więzienie w Mińsku

Okolo godz. 10 rano wyprowadzono nas z wagonu, wpakowano szturchając i klnąc do otwartych samochodów ciężarowych, gdzie trzeba było siedzieć na mokrej i brudnej podłodze z wyciągniętymi nogami, na których siedział inny — tak było ciasno. Za patrzenie na boki grożono zastrzeżeniem. Widziałem jednak okropnie brudne ulice, wieziono nas dawną ulicą Zacharzewską, długie ogonki źle ubranych ludzi w starych, połatanych ubiorach, walonkach, wystające przed parą małymi sklepikami z chlebem — małe, przeważnie drewniane domki, znane mi jeszcze sprzed 45 lat, tj. z czasów gimnazjalnych, wówczas odmalowane, wybielone, świeże, teraz dziurawe, omszałe, opuszczone. Wśród nich kilka nowych, monumentalnych, murowanych gmachów; przed jednym z nich pomnik przemawiającego Lenina. Na kościele Św. Symeona i Św. Heleny, fundowanym przez Edwarda Woyniłłowicza już za mojej pamięci — zamiast zdjętych krzyży napis: „KINO LEDA”. Zaraz za kościołem auta skręciły na lewo, do starego więzienia. Gmach dawny, jak widać z architektury, budowano za polskich przedrozbiorowych czasów; zapewne jakaś rezydencja magnacka — może zresztą w innym wzniesiona celu. Za mego dzieciństwa było to już więzienie. Przechodząc nigdy przez jego ciężką, żelazną bramę wzdrygałem się i zżymałem zawsze na myśl o tych, co siedzą tam za tymi murami — nie sądziłem jednak, że i sam odbędę tu zapewne najcięższe chyba miesiące mojego życia.

Ustawiono nas na dziedzińcu zewnętrznym: obok też parami stali więźniowie z Grodna i Wołkowyska. Dowiedziałem się, że jest między nimi mój kolega z Senatu i przyjaciel, sąsiad z Hotelu Sejmowego w Warszawie i właściciel majątku

Strabnice w wołkowyskim — Kazimierz Bisping<sup>18</sup>. Nie poznałem go, tak się zmienił. Mizerna, zapadła, pomarszczona twarz, długa szpakowata broda, głowa ogolona. Po pewnym czasie wprowadzono nas na dziedziniec wewnętrzny. Do wieczora trwało sprawdzanie, rewizja, odbieranie rzeczy, które przy wyjeździe z Baranowicz częściowo nam oddano lub które były tam pozostawione w celach, jak koc, jasiek itp. Wieczorem wprowadzono nas 120 osób na górne piętro głównego gmachu i wparto wprost przemocą — ostatnich dosłownie kulakami i kolanami — do jednej celi nr 97. Na szczęście ja z Kaziem i Stefanem trafiliśmy jedni z pierwszych i zdołaliśmy zająć miejsce przed okienkiem, które choć malutkie i wysoko umieszczone, po wyjęciu szyb dawało trochę powietrza.

Myśleliśmy, że to na jedną noc tak nas ściśnięto. Okazało się, że na stałe. Na człowieka przypadało po 0,4 m<sup>2</sup> podłogi cementowej, na której trzeba było spać — nie mając nic, prócz własnej marynarki i spodni pod boki i głowę — siedzieć lub stać. O ruszaniu się mowy nie było. Leżąc rzędami trzeba było kłaść nogi na więźniu leżącym naprzeciw lub, jeżeli się udało wsunąć je między dwóch z przeciwka, to, choć mdlały piekielnie całą noc, nie można było ich ruszyć. Przewrócić się z boku na bok nie można było inaczej, jak cały szereg leżących obok siebie osób musiał to samo uczynić. Wszyscy leżeli na prawym lub lewym boku z przyciśniętymi pierściami jeden do pleców drugiego. Gdy nadeszło upalne lato, wszyscy byliśmy cały czas oblani potem, zwłaszcza że nad nami był nagrany od słońca blaszany dach, a w celi tylko 2 malutkie okienka, razem bodaj mniej 1 m<sup>2</sup> zajmujące. Brak powietrza, wylizy 120 osób spoconych i przeważnie chorych, ścisk nie dający choć na chwilę wypocząć, leżące na podłodze dziesiątki półnagich ciał ludzkich, wszy, które w tych warunkach gromadnie się pojawiały, i wywołane tym wszystkim zdenerwowanie i podniecenie ogólne robiły wrażenie piekła. Nie wyobrażałem sobie, abym mógł w życiu widzieć takie dantejskie sceny, jakich byłem świadkiem w tej celi, podczas półrocznego w niej pobytu. Dotąd widywałem je tylko

<sup>18</sup> Kazimierz Bisping (ur. 1887–1941?) — w czasie I wojny światowej oficer armii rosyjskiej, następnie w Polskim Korpusie Wschodnim; ochotnik w wojnie 1920 r.; działacz samorządowy; w latach 1935–1938 senator z województwa białostockiego.



Ryc. 6. Konstanty Rdułtowski z żoną Zofią — Krynica 1937 r.

w ilustracjach, na obrazach i traktowałem jako wytwór fantazji. Teraz miałem je dokoła siebie<sup>19</sup>. Jedynym ratunkiem był wentylator maszynowy, ustawiony na dziedzińcu, który stamtąd przez blaszane rury pompował do cel powietrze. Uruchamiano go jednak rzadko – kilka razy na dobę, gdy ludzie zaczynali omdlewać, a cela podnosiła dziki krzyk „wozducha!” – „powietrza!”. Tupano nogami, bito w ściany. Nadchodził strażnik, groził represjami, pozbawiał celę prawa korzystania ze spaceru, ale najczęściej uruchamiał wentylator na kilka minut.

Złe jedzenie i sposób traktowania więźniów jeszcze pogłębiały ten fatalny stan. Rano otrzymywaliśmy po kawałku chleba i łyżce cukru oraz wodę gotowaną, zaprawioną suszonymi liśćmi, tzw. „czaj”, na obiad obrzydliwą wodnistą zupę, niemal bez zmiany, krupnik prawie bez krup i zawsze bez tłuszczu, niekiedy z dodatkiem małych srebrzystych solonych rybek, wieczorem „czaj”. Brak kwasów i tłuszczów, przy okropnych warunkach życia, wywoływał nie tylko wychudnięcia, ale też awitaminozę, cyngę, czyli skorbut<sup>20</sup>, osłabienie serca, częste też były plewryty<sup>21</sup>, reumatyzm, choroby żołądka. U bardzo wielu obrzękły nogi i pokrywały się otwartymi, niegojącymi się ranami. Była to pod koniec lata powszechna choroba. Niektórzy puchli cali, co po pewnym czasie przechodziło. Bardziej chorych skierowywano do lekarki, która urzędowała w ambulatoryjnym pokoiku na

<sup>19</sup> Warunki w radzieckich więzieniach, zwłaszcza na ziemiach zagarniętych w 1939 r., były koszmarne. Samo przebywanie tam stawało się trudną do opisanego udręką. Podstawową tego przyczyną było ogromne przepełnienie. Opinie co do krotności wzrostu liczby więźniów w porównaniu z okresem przedwojennym są wśród badaczy podzielone. Jedni uważają, iż był to wzrost czterokrotny, inni że sześć- a nawet siedmiokrotny. Szczególną wymowę mają takie choćby przykłady: we Lwowie, w więzieniu na Zamarstynowie w lutym 1940 r. w celach dwuosobowych trzymano po 24 więźniów, w tzw. Brygidkach w celi o powierzchni 20 m<sup>2</sup> siedziało 50 osób. W Stanisławowie, w końcu 1939 r. w więzieniu obliczonym na tysiąc osób przetrzymywano ponad 6 tys., a w Drohobyczu w celach pojedynczych zamykano nawet 15–20 osób. Przykładów tego rodzaju w relacjach i literaturze przedmiotu znaleźć można wiele.

<sup>20</sup> Cynga (skorbut) to choroba bardzo częsta wśród więźniów i łagierników, powodowana niedoborem witamin, a zwłaszcza witaminy C.

<sup>21</sup> Plewryty (łac. *pleuritis*) – zapalenie opłucnej; pleuroza.

naszym korytarzu co drugi dzień. Mających wysoką temperaturę odsyłała do szpitala. Innym dawała lekarstwa. Cały personel lekarski był żydowski, toteż zdrowi Żydzi udawali chorych i starali się trafić do ambulatorium, a stamtąd już łatwiej szli na odpoczynek i dokarmianie do szpitala.

Co dwa dni mieliśmy zasadniczo mieć 15 minut spaceru; często jednak, czy za karę, czy z innych powodów, byliśmy go pozbawieni, a jeżeli się odbywał, to trwał najwyżej 10 minut. Nie był to spacer, lecz stanie w obitej deskami zagrodzie. Celę dzielono na 3 grupy po 40 osób i każdą grupę wpuszczano do oddzielnej, małej zagrodki, gdzie na chodzenie najczęściej brakło miejsca. Zagródka takich było 8, zbudowanych w gwiazdę. Pośrodku stojący na wysokim podniesieniu uzbrojony dozorca widział i pilnował od razu wszystkie 8 zamkniętych zagród, lając, klnąc i dyrygując – w razie nieposłuszeństwa, np. za rozmawianie, zdjęcie marynarki itp., zdarzyło się, że celi przerywano spacer. Bicie i szturchanie więźniów było na porządku dziennym. Raz, gdy na skutek obrzęku nóg i ran, wracając ze spaceru w szeregu nie mogłem iść równo, choć nie odstawałem od innych, podskoczył do mnie enkawudzista i dwa razy uderzył z całej siły pasem skórzanym po plecach. Stałem i powiedziałem: „Bij więcej, niech ludzie widzą kulturę sowiecką”. To o dziwo poskutkowało, bić przestał, zrobił się czerwony ze złości, a gdy odchodziłem wrzeszczał za mną: „Co on za jeden taki!” Jeżeli podpatrzono przez „wilczek” lub dowiedziano się od szpiegów, których paru w celi naszej siedziało, kto pierwszy zaczął hałasować w razie braku powietrza, kto głośno narzekał lub mówił coś niepoehlebnego o więzieniu i jego kierownikach, wywoływano go pod różnymi pozorami na korytarz i tam paru dozorców rzucało się nań, bito go i kopano. Ulubionym „sportem” było dręczenie ludzi w ustępie. Dozorca naganiał tam do szybkiego opuszczania tego miejsca. Chorego na żołądek w trakcie odbywania funkcji naturalnych chwymano za kołnierz i pchano przez lokal, każąc mu później rękami czyścić brudną podłogę. Pod naszą celą mieściły się gabinety, gdzie badano aresztowanych. Nieraz dochodziły stamtąd jęki. Wracający ze śledztwa przyznawali się na ucho pod wielkim sekretem, że byli bici. Bito po twarzy, kopano kolanem w brzuch, stawiano wyprężonego w nieruchomej pozycji na kilka godzin. Stosowano to nie tylko w Mińsku. Senator Bisping zwierzył mi się poufnie, że w Grodnie szturchano go

przy badaniu i połamano na ogolonej głowie obsadkę. Rezultaty bicia i innych tortur mieliśmy w naszej celi. Kilku słabszych ludzi zwariowało. W rogu celi klęczał całymi godzinami twarzą do ściany młody porucznik, plujący krwią, z odbitymi płucami. Z drugiej strony, przy drzwiach obok paraszy, walał się prawie nagi młodzieńki chłopiec, zupełnie nienormalny, którego trzeba było gwałtem myć, ciągnąć do ustępu (załatwiał się pod siebie), był przerażony albo głupkowato uśmiechnięty. Inny, stary, kilka razy na dzień padał na kolana, wznosił ręce, modlił się lub płakał. Jeszcze inny uderzony w ucho ogłuchł zupełnie i często śmiał się bez powodu i sensu.

W samej celi było zawsze paru szpiegów, jak to już wspomniałem. Między innymi był młody chłopiec R... w ubraniu wojskowym, podający się za żołnierza litewskiego, rzekomo zatrzymany przy przejściu granicy. Po pewnym czasie nie krył się z tym, że donosił władzy więziennej i cynicznie wyludzał tytoń lub cukier w zamian za dobre stosunki. W sklepiku więziennym kupowano machorkę, papierosy lub chleb. Było to dozwolone co 2–3 tygodnie. Gdy ktoś proponował mu zamianę na ręcznik lub chustkę do nosa, nawet marynarkę, transakcja dochodziła do skutku. Gdy papierosy były wypalone, a chleb czy cukier zjedzony, żądał zwrotu ręcznika itp., gdy mu nie oddano wołał strażnika i oskarżał o kradzież. Strażnik się śmiał, polecał rzecz oddać i mówił: trzeba burżujów »raskułaczywać« (tj. zmuszać by przestali być „kułakami” – rosyjska nazwa bogatego chłopca).

Tak wyglądało nasze życie w Mińsku, ale były w nim i pociechy, których Bóg dobry nie odmawia człowiekowi. Więc przede wszystkim dużo znajomych miałem w celi. Kazio i Stefan Rdułtowski ulokowani obok mnie, senator Kazimierz Bisping, Jan Mierzejewski, Mieczysław Kotarbiński, Józef Raciborski, Sękowski (burmistrz z Lachowicz), Skrzypczyński (wójt, też z Lachowicz), Machaj, kilku policjantów z Baranowicz, Kapcan, obaj Lenczewscy-Samotyja z Grodzieńszczyzny, Bychowicz, Zalutyński, Dawidowski, dr. Wernkso, dr J. (nazwisko mi nieznane) ze Skidla, Kościałkowski z Grodna, rejent Suryń, sędzia Krasicki, kulawy Sokołowski z Nowogródzkiego, Hałaburda, Dąbrowski (kierownik Szkoły Rolniczej spod Kobrynia, a kolega mojego brata Zygmunta), Piotr

Wojtkiewicz z Krakowa, kilku sierżantów z Baranowicz, niejaki Kozłowski z Grodzieńszczyzny (na wpół komunista) i inni.

Kazio, choć chory na serce, trzymał się duchowo bardzo dobrze. Pogodny, spokojny, uprzejmy dla wszystkich, mógł być przykładem, toteż lubiany był powszechnie i odbijał na tle naszej celi, na ogół zdenerwowanej, kłóliwej, klnącej, rozdrażnionej. Stefan zresztą, jak zwykle, znacznie mu ustępował. Z Kaziem rozmawialiśmy często o przeszłości i przyszłości, i o naszych rodzinach. Na wypadek, gdyby jeden z nas do kraju nie wrócił – drugi miał się zaopiekować jego rodziną. Układaliśmy sobie wówczas projekty, jak będziemy gospodarzyć po powrocie i postanowiliśmy otworzyć na spółkę sklep produktów wiejskich w Baranowiczach. Ja projektowałem zacząć od tych działów, które będą potrzebowały mniejszych nakładów pieniężnych, jak: kury, króliki mięsno-futerkowe, trzoda chlewna, pszczoły, ryby, sad owocowy. Po otrzymaniu kredytu, konie robocze i hodowla zbóż gatunkowych do sprzedaży na nasiona. Krowy w ostateczności. Dążyć z dwóch majątków: Czernichowa Górnego i Odachowszczyzny, do założenia fabryki przetworów owocowych i warzywnych na większą skalę suszarnia, wyrób kompotów, wody owocowej, soków, marmolady itp. Takie były nasze rozmowy, plany i marzenia w więzieniu w Mińsku.

W celi zachodziły częste zmiany. Jeszcze w kwietniu wywieziono gdzieś ziemian z Grodzieńszczyzny, prócz Bispinga. W końcu kwietnia lub na początku maja zabrano Kazia, Stefana, Mierzejewskiego i Kotarbińskiego. Na ich miejsce pakowano do celi innych. Tymczasem dotąd nie zostali odnalezieni<sup>22</sup>, wówczas gdy my, którzyśmy się dłużej w Mińsku nacierpieli,

<sup>22</sup> Zaginieni więźniowie, o których wspomina K. Rdułtowski, zostali prawdopodobnie rozstrzelani na podstawie tej samej decyzji, na mocy której dokonano mordu na jeńcach polskich przetrzymywanych w Ostaszku, Kozielsku i Starobielsku. Decyzja ta, podjęta przez Biuro Polityczne KC WKP (b) 5 marca 1940 r., przewidywała, iż obok 14,7 tys. jeńców wojennych rozstrzelanych zostanie 11 tys. osób przetrzymywanych w więzieniach na tzw. Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainie: „członków różnorodnych k-r [kontrrewolucyjnych – S.C] szpiegowskich i dywersyjnych organizacji, byłych obszarników, fabrykantów, byłych polskich oficerów, urzędników i zbiegów”.

już od kilku miesięcy w stolicy wolnej ziemi irańskiej wypoczywamy<sup>23</sup>.

Podczas takich zmian osobowych do celi trafił jeden z policjantów baranowickich, aresztowany na początku roku 1940. Rozmawiając z nim, dowiedziałem się, że jakaś pani senatorowa z Baranowicz z córeczką i jeszcze paroma osobami w grudniu 1939 roku wyjechała do Warszawy. Byłem pewny już, że to Zośka moja z Terenią; schodziło się to z urwanem przesyłek do więzienia, a 4 paczki machorki i zapalek były zapewne oznaką pożegnania. Byłem szczęśliwy i dziękowałem Bogu za tę łaskę. Nadeszły też i wiadomości polityczne: że mamy rząd w Paryżu, że Raczkiewicz jest prezydentem itd.<sup>24</sup> Optymiści, a tych w celi było dużo, twierdzili, że nas wkrótce zwolnią, że między Rosją a Niemcami wybuchnie wojna itd. Mnie irytował ten nieuzasadniony optymizm. Sądziłem, że w 1942 roku dopiero można będzie wracać; no i wyjechałem z Rosji, lecz nie do domu, a tylko do Persji. Czasami od nowo przybywających do celi dowiadywaliśmy się, kto w innych celach tegoż więzienia przebywa. Tak słyszałem o senatorze Giedroyciu<sup>25</sup>, o senatorze Malskim<sup>26</sup>, o dyrektorze Lorecie, o Zygmuncie Kotłubaju i innych.

Przy dłuższym pobycie w celi staraliśmy się jakoś przetrwanie ułatwić. Codziennie rano i wieczorem zbierała się

<sup>23</sup> Polacy znaleźli się w Teheranie w wyniku ewakuacji z ZSRR armii polskiej oraz pewnej liczby osób cywilnych. Ewakuacja ta została przeprowadzona w dwóch etapach. Od 24 marca do 5 kwietnia 1942 r. Związek Radziecki opuściło 43 858 osób, w tym 10 789 cywilów. Od 9 do 30 sierpnia ewakuowano 69 247 osób, w tym 25 501 cywilów.

<sup>24</sup> Zgodnie z zasadami konstytucji kwietniowej z 1935 r., dla zapewnienia ciągłości władz państwa polskiego, internowany w Rumunii prezydent Ignacy Mościcki przekazał swój urząd Władysławowi Raczkiewiczowi, który 30 września 1939 r. został zaprzysiężony w Paryżu jako nowy prezydent Polski. Tego samego dnia Raczkiewicz powołał nowy rząd, na czele którego stanął gen. Władysław Sikorski, pełniący równocześnie funkcję Naczelnego Wodza.

<sup>25</sup> Tadeusz Giedroyc — senator wybrany w 1938 r.

<sup>26</sup> Władysław Malski — członek, a w 1920 r. komendant Związku Strzeleckiego, legionista, członek POW na Górnym Śląsku, prezes Centralnego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych, w latach 1935–1938 senator z województwa nowogródzkiego.



Ryc. 7. Konstanty Rdułtowski, w środku żona Zofia, obok Halina Christoffowa (matka żony) u góry córka Teresa. Krynica 1937 r.

nasza grupa pod oknem i śpiewaliśmy przyciszonym głosem „Kiedy ranne wstają zorze” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Pierwszy raz strażnik, gdy to usłyszał, wleciał do celi, ale się zahamował i pyta: „Co oni robią? modlą się?”. Stojący bliżej drzwi odpowiedzieli, że się modlimy. Strażnik się zawahał, powiedział: „Tylko nie tak głośno” — i wyszedł.

Za to też w Mińsku po raz pierwszy w życiu słyszałem najgorszą, najpodlejszą rosyjską połajankę, połączoną z imieniem Boga i Matki Najświętszej. W pierwszej chwili chciałem rzucić się na bluźniercę. Potem często podczas pobytu w więzieniu i obozie pracy zmuszony byłem tego słuchać, ale zdałem sobie sprawę z poziomu ludzi, którzy to robią i nie miałem już takiego wstrząsającego wrażenia, a tylko obrzydzenie, wstręt i pogardę.

Poza modlitwą, która nas krzepiła, mieliśmy jeszcze dla skrócenia czasu i urozmaicenia pogadanki. Pierwszy zaczął je komendant naszej celi, lekarz ze Skidla; miał dobrą pamięć i zamiłowanie do egzotycznych fantazyjek, których kilkanaście opowiadał z nadzwyczajnymi szczegółami. Powtarzały się tam historie Tarzana, piratów morskich, maharadzów itp. Przyznam, że tego rodzaju rzeczy nie lubię, tak jak powiastek kryminalnych i wszelkiego rodzaju sensacyjek. Za to inni mówili rzeczy poważniejsze. Jeden z sierżantów opowiedział w ciągu kilku dni całą *Trylogię* Sienkiewicza, a rejent Suryn przytaczał z pamięci dosłownie całe ustępy z tego wiekopomnego dzieła. Dąbrowski mówił z dziedziny rolnictwa i pszczelarstwa, Dawidowski z przyrody, Raciborski i Sankowski z techniki. Ja głosu nie zabierałem, ale przypomniałem sobie niektóre poezje Mickiewicza, m.in. *Do Matki Polski*, *Ode do Młodości* oraz Lermontowa i Puszkina. Przypomniałem też Ewangelię Św. Jana, czytaną w końcu Mszy, modlitwy mszalne i do Matki Boskiej odmawiane przez ś.p. moją Matkę: *O Maryjo Panno, Pomnij o Przenajświętsza Panno Maryjo* i inne.

Dla podtrzymania fizycznego robiliśmy „spacery” w celi. Wszyscy schodzili się na jej środek, a po dwudziestu ludzi kolejno maszerowało dookoła przy ścianach po 25 razy. Wielu zajmowało się wyrabianiem igieł z ości rybich, kosteczek lub drucików znalezionych podczas spaceru czy w zupie. Całymi dniami tarto taką kosteczkę lub drucik o cementową podłogę aż przybrała kształt i ostrze igły, potem, co było najtrudniejszą sztuką, wiercono w nich uszka. Z przeżutego

chleba robiono z dodatkiem proszku ze zwęglonej szmaty bardzo artystyczne figurki, fajki itp. zabawki. I ja dostałem na pamiątkę piękną fajeczkę z twarzą wąsala i parę igieł. Później w obozie wszystko to mi zginęło. Podobnie jak ostrzenie igieł, odbywało się obcinanie, ściślej mówiąc ścieranie paznokci na rękach. Ja tarłem je o ściany — tak było w Baranowiczach, i tak w Mińsku.

Ciekawy przypadek mieliśmy 1 Maja. Machaj z takimże jak on socjalistą Kozłowskim, Kapcanem i innymi, chcąc przypodobać się władzy więziennej, zebrali się rano po naszej modlitwie w grupę i zaczęli śpiewać „Internacjonal”. Na to wpadli dozorczy i kazali przerwać, grożąc Machajowi, a gdy ten tłumaczył swoje rewolucjonistyczne nastroje, dostał odpowiedź mniej więcej tej treści: „Milcz, bo jesteś nie rewolucjonistą a aresztantem!”, a do tego, że oprócz tego ostrzeżenia, czeka go inne bardziej dotkliwie. Tak się zakończył więzienny socjalistyczny 1 Maja!

Choroby gnębiące innych i mnie nie ominęły. Nogi obrzękły mi bardzo silnie na stopach i przy kostkach, a nieco mniej do kolan. Potworzyły się na nich bolesne rany, z których wydzielala się ropa. Trwało to kilka miesięcy. Czas jakiś nie mogłem chodzić. Potem dostałem zapalenia oskrzeli — katar nie opuszczał mnie ani na jeden dzień. Czułem się coraz słabszy. Wreszcie w sierpniu będąc w umywalni zemdlałem. Zawleczono mnie do lekarki. Okazało się, że mam temperaturę około 39°. Po paru dniach zabrano mnie do szpitala więziennego. Tam leżałem na łóżku, w sienniku (jak i prawie we wszystkich innych) miałem rodzinę małych myszek. Jedzenie dawano cztery razy dziennie. Była herbata z cukrem i bułka, buraki lub marchew gotowane na drugie śniadanie, zupa gęsta lub kasza albo kartofle na obiad, na wieczerzę też zupa lub kawa czy herbata. Parę razy dostałem po szklance mleka. Codziennie obchodziła nas lekarka, 2 lub 3 razy dziennie pielęgniarka mierzyła i zapisywała temperaturę. Przekonałem się, że na mojej sali była grupka zdrowych ludzi, którzy by dłużej zostać w szpitalu, postukiwali codziennie w termometr. Dopiero któryś nieostroźnie dopędził temperaturę do 45° — wtedy wypisano ich ze szpitala. Przykre wrażenie robili wariaci, których krzyki nie dawały spokoju nikomu. Mnie dawano lekarstwa: drożdże w pastylkach, witaminy i coś na obniżenie temperatury. Pomału się poprawiałem, rany się zamykały,

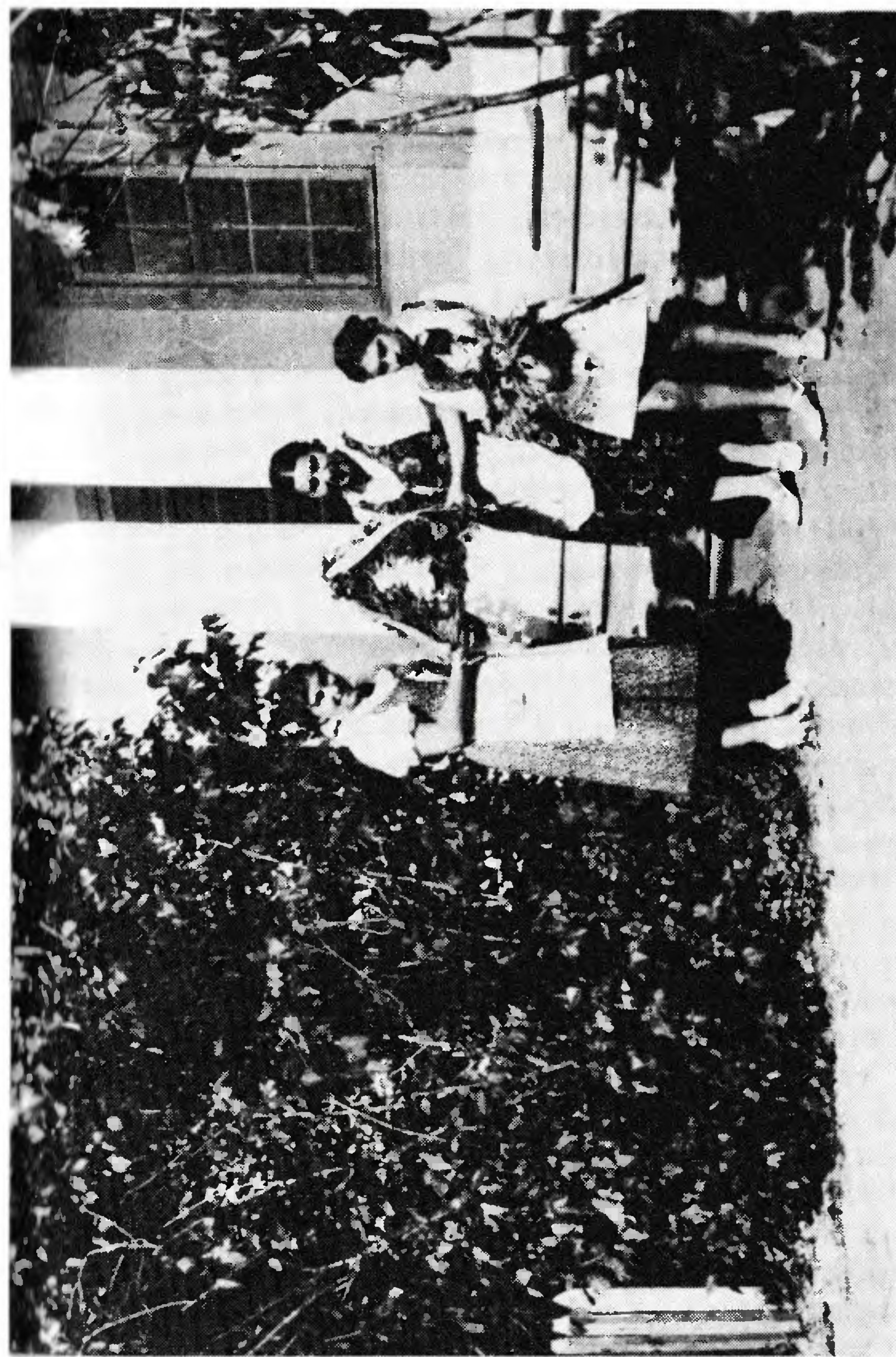
obrzęki zwolna ustępowały. W sali było kilku Polaków, Litwin, Rosjanin – młody strasznie zbity i prawie zupełnie nieprzytomny, oraz Żydzi. Jeden z nich młody jeszcze, Koniuszewski, z jakiegoś miasteczka spod Suwałk, bardzo był faworyzowany przez personel szpitalny (cały żydowski z wyjątkiem posługaczek rekrutujących się z jakichś kokot czy prostytutek). Koniuszewski dostawał kotlety, masło, chleb, mleko. Polski nienawidził! Dokuczyły jemu i jego rodzinie endeckie ekscesy i bojkot<sup>27</sup>, na skutek czego ojciec jego, właściciel młynów, poniósł straty. W gorączce krzyczał, że „woli umrzeć niż dowiedzieć się, że Polska znów powstała”.

Mniej więcej po dwóch tygodniach leżenia, wywołano mnie do kancelarii szpitala, gdzie oficer NKWD odczytał mi wyrok zaocznej decyzji Rady Najwyższej NKWD<sup>28</sup>. Za to, że byłem przez 10 lat senatorem w parlamencie w Polsce, że eksploatowałem jako właściciel majątku 110 osób służby i robotników – zostałem skazany na 8 lat pracy w obozach poprawczych. Oficer był zdumiony, że nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Jeszcze na tydzień powróciłem do swego łóżka szpitalnego. W jakąś niedzielę wrześnieową, wywołano mnie znowu, kazano ubierać się i nie oddając nic z zabranych rzeczy, bez zezwolenia lekarza na opuszczenie szpitala, z nogami jeszcze spuchniętymi i w stanie podgorączkowym – wyprowadzono do bramy więziennej, oświadczając, że zaraz Mińsk opuszczę. Ze mną wywożono jeszcze paru obywateli sowieckich i tylko jednego polskiego, Żyda Sliozberga, introligatora z Pińska, komunistę z przekonania. Po paru godzinach siedzieliśmy już zamknięci w aresztanckim wagonie tzw. „stołypinowskim”<sup>29</sup>, tj. osobowym IV klasy z małymi przedziałami

<sup>27</sup> Polski ruch nacjonalistyczny, reprezentowany głównie przez tzw. endecję (narodową demokrację), głosił hasła antysemickie, wzywając do ograniczenia praw ludności żydowskiej, w tym i jej roli gospodarczej. Wzywano m.in. do bojkotu żydowskich przedsiębiorstw, eliminacji młodzieży żydowskiej z wyższych uczelni itp. Na tym tle dochodziło do antysemickich ekscesów organizowanych głównie przez młodzież nacjonalistyczną.

<sup>28</sup> Taki organ w ogóle nie istniał. Z pewnością chodzi tu o wyrok wydany przez Osoboje Sowieszczanije (tzw. OSO) przy NKWD ZSRR (szerzej zob. w *Postłowiu*).

<sup>29</sup> Wagon stołypinowski, tzw. stołypinka – więzienny wagon osobowy, nazwany tak od nazwiska premiera i ministra spraw wewnętrznych Rosji P. A. Stołypina, który wprowadził ten środek transportu więźniów.



Ryc. 8. Czernichów Górny – dożynkowe wieniec. Od lewej Jadwiga Griedroyciówna, w środku Zofia Rdułtowska z córką Teresą. Lipiec 1938 r.

i okratowanymi mocno oknami. W Mińsku parę razy udało mi się spojrzeć na miasto przez okienka z celi i umywalni; koledzy podnosili mnie do góry, bym mógł w nie zajrzeć. Widziałem katedrę, w której tyle razy na Mszy Św. i u spowiedzi bywałem, widziałem cmentarz i mury kościółka na Kalwarii, brudny i opuszczony tak kiedyś zwany „Tatarski Koniec”, gmach Hotelu Europejskiego i wielkie nowe gmachy przy ul. Zacharzewskiej i na placu Sobornym. Mniej więcej koło dawnego Soboru widniała jakaś wielka kolumnada.

Kiedyś żyty, zrosnięty byłem z tym miastem, teraz opuszczałem je z najgorszymi, najbardziej ciężkimi wspomnieniami. Czuję się tak wyczerpany fizycznie, że jeszcze kilka miesięcy takiego życia bym nie zniósł. Toteż wielu z kolegów, jeżeli nie tam na miejscu, to po wyjeździe przeplaciło śmiercią. Ci co siedzieli w suterenach lub w stajni, nie lepsze mieli od nas warunki.

## 5. Droga do obozu pracy i Swierdłowsk

Z Mińska odjechaliśmy tegoż dnia. Wagony aresztanckie przyczepiono do pociągu, podróż odbywała się więc prędko i nazajutrz około południa byliśmy już w Moskwie. Po drodze w Orszy, Borysowie, Smoleńsku i na innych stacjach, wciąż przybywali inni aresztowani. Niektórzy z nich pracowali przy budowie szosy z Mińska do Moskwy. Dokąd teraz nas wszystkich wieziono, nikt nie wiedział. W Moskwie dano nam chleb, rybę suszoną, herbatę. Po kilku godzinach wyprowadzono z wagonów i wsadzono do więziennych karetek samochodowych. Czuję się bardzo niedobrze. Choroba wróciła, gorączka to paliła mnie ogniem, to znów ziębiła. Nie mogłem ustać na nogach. Przy wychodzeniu z wagonu i wchodzeniu, dwóch kolegów-aresztantów pomagało mi z własnego dobrego serca, bo dozorczy zdobywali się tylko na przekleństwa i popychania. Teraz dopiero zorientowaliśmy się, że tylko niedużą część spośród nas skierowano prawdopodobnie do więzień moskiewskich, resztę przewieziono na inny dworzec. Tu rozdzielono nas na dwie partie: większą, złożoną z silniejszych mężczyzn, załadowano do pociągu, który miał odejść w kierunku Leningradu — mniejszą, z przewagą starych, chorych i kobiet, do innego. Po paru godzinach ruszył on w stronę Kazania.

Jechałem w tym drugim, dziękując Bogu, że uchronił mnie od pracy w błotach petersburskich, gdzie ponoć jakieś kanały kopano, lub w śnieżnych i mroźnych tundrach koło Archangielska. Jechaliśmy więc w kierunku Syberii, ale dokąd — znowu nikt nie wiedział. W okolicach Kazania przejeżdżaliśmy kraj bardzo biednie i dziko wyglądający, porosły marną brzezina, z biednymi osiedlami ludzkimi. Poinformowali mnie towarzysze podróży, że to kraj Czuwaszów<sup>30</sup>, bardzo niekulturalnych i niesympatycznych. Stwierdziłem to później sam w obozie, bo ci, których tam poznałem, były to wstrętne, podłe typy.

Po paru dobach jazdy, stosunkowo dość prędkiej, podczas której gorączka powoli zaczęła mnie opuszczać (mimo okropnych warunków), zatrzymaliśmy się w większym mieście, Swierdłowsku<sup>31</sup>, już po drugiej wschodniej stronie Uralu, a więc w Azji. Góry Uralskie zostały od nas na północ. W Swierdłowsku opuściliśmy wagony i przewieziono nas do wielkiego więzienia służącego do grupowania wysyłanych dalej na wschód więźniów<sup>32</sup>, według obozów, do których mają być skierowani, i wysyłania dalej, gdy odpowiedni komplet się zbierze. W przejeździe do więzienia widziałem miasto, rozbudowujące się z dużym rozmachem. Nowe ulice, nowe domy. Przy wielkim starym więzieniu olbrzymi nowy gmach szpitalny dla więźniów, podobno wewnątrz dobrze urządzony. W więzieniu ogolono nas, skierowano do łaźni, odzież wydezynfekowano dla wygubienia wszy, potem rozdzielano do różnych celi. Ja trafiłem do wielkiej, przepelnionej sali. Była tam istna „Wieża Babel”. Mieszanina kilkunastu narodowości: Polacy, Rosjanie, Gruzini, Osetyńcy, Ormianie, Tatarzy, Czuwasze, Kazachowie, Uzbeki, Jakuci, Chińczycy, Japończycy, Ukraińcy, Białorusini i inni, których już nie

<sup>30</sup> Czuwasze — lud z grupy tureckiej, zamieszkujący Czuwaszję, częściowo Tatarstan i Baszkirię; język należy do bułgarskiej grupy języków tureckich.

<sup>31</sup> Swierdłowsk — miasto obwodowe (stolica oblasti) w Rosyjskiej Federacyjnej SSR, wielki ośrodek przemysłu maszynowego.

<sup>32</sup> Więzienia przesyłowe (rozdzielcze) były sytuowane przy głównych szlakach kolejowych prowadzących do skupisk obozów pracy, służyły do czasowego przetrzymywania więźniów kierowanych do obozów lub innych więzień śledczych. Więzienia tego typu były najbardziej przepelnionymi zakładami karnymi w ZSRR, a warunki życia były tam szczególnie trudne.

pamiętam. Tu dowiedziałem się, że w więzieniach i poprawczych obozach pracy siedzi w Sowietach około 40 milionów ludzi, a zatem więcej, niż cała ludność Polski<sup>33</sup>. Większość nie wie, za co jest aresztowana. Podejrzenie o nieprawomyślność, doniesienie osobistego wroga, pochodzenie z rodziny „burżujskiej”, wystarcza do skazania na 8, 10 lub więcej lat pozbawienia wolności<sup>34</sup>. Żony osób aresztowanych za nieprawomyślność polityczną też są aresztowane; jest to duża grupa, oddzielnie się trzymająca, a nosząca oficjalną nazwę „Żony”. Uważają siebie za swego rodzaju arystokrację więzienną. Prócz politycznych jest moc kryminalistów — osądzonych za defraudacje i kradzieże, bandytyzm, chuligaństwo, zabójstwa, prostytutkę itp. Są oni trzymani razem z politycznymi i stanowią największą plagę i udręczenie dla aresztowanych i inteligencji. Najokropniejsze, najbardziej plugawe przekleństwa, ciągle okradanie towarzyszy niedoli ze wszystkiego, z ostatniego kawałeczka chleba, rozmyślne pastwienie się nad inteligencją zarówno dawniejszą, jak i nową komunistyczną, której też nie cierpią. Jest to stale i okropne zjawisko, gorsze

<sup>33</sup> Wedle urzędowych rejestrów NKWD w 1940 r. w obozach i tzw. koloniach roboczych GUŁag przebywać miały 1 659 992 osoby. Natomiast w więzieniach radzieckich w grudniu 1939 r. przebywało 186 278 osób, w lipcu 1940 r. — 217 819, a we wrześniu — 401 146 osób (W. N. Ziemiński, *GUŁAG (istoriko-socjologiczeskij aspekt)*, „Socjologiczeskije issledowanija” 1991, nr 6, s. 11).

<sup>34</sup> Osławiony art. 58 Kodeksu Karnego Rosyjskiej FSSR składał się z czternastu punktów obejmujących następujące przestępstwa: działalność kontrrewolucyjną, powstanie zbrojne lub napaść w celach kontrrewolucyjnych, kontakty z innymi państwami lub działającymi w nich grupami i ich przedstawicielami w celach kontrrewolucyjnych, udzielanie pomocy międzynarodowej burżuazji, nakłanianie obcego państwa do wojny przeciw ZSRR, szpiegostwo, podkopywanie gospodarki państwowej, akty terroru skierowane przeciw przedstawicielom władzy radzieckiej, organizacji robotniczych i chłopskich, akty niszczyielskie skierowane w celach kontrrewolucyjnych przeciwko liniom kolejowym, środkom łączności i innymi elementom majątku państwowego i społecznego, aktywną walkę przeciwko międzynarodowemu ruchowi robotniczemu, sabotaż kontrrewolucyjny, antyradziecką propagandę i agitację, niedoniesienie o przygotowywanym lub popełnionym przestępstwie kontrrewolucyjnym (Ż. Rossi, *Sprawocznik po GUŁAG-u*, Moskwa 1991, cz. 1, s. 489). Przy wyjątkowo rozciągłym interpretowaniu treści tych przepisów na dobrą sprawę można było na ich podstawie skazać każdego.

od samego nawet więzienia<sup>35</sup>. Największa ilość defraudacji naturalnie jest popełniana przez pracowników instytucji rządowych, jak: fabryki, kolchozy<sup>36</sup>, sowchozy<sup>37</sup>, urzędy, tzw. „spółdzielnie”<sup>38</sup>, magazyny i składy, którym pieniądze publiczne pomieszały się z własnymi, najczęściej lichymi poborami, lub towary ze składów i magazynów gdzieś się zapodziały. Powszechną zazdrość wzbudzają ci, co duże sumy ukradli, a na sądzie tak się sprytnie wykręcili, że tylko kilka lat dostali. „Warto te kilka lat tu posiedzieć, a potem mieć dobrze w życiu, lepiej, niż stale do śmierci męczyć się na tej niby wolności” — taka jest opinia powszechna.

Polaków w mojej celi w Swierdłowsku było mało. Zaznajomilem się za to z trzema poważniejszymi i kulturalnymi Rosjanami, jak się okazało profesorami wyższych zakładów naukowych. Jeden z nich, profesor Akademii Górniczej, starszy człowiek, badał głębokość stałego zamarznięcia tundry północnej<sup>39</sup>, od Archangielska aż po Kamczatkę. O ile pamiętam sięga ona 120 m miejscami 200 m od powierzchni ziemi<sup>40</sup>. Na powierzchni tej warstwy lodowatej odmarza latem bardzo niewiele, na centymetry tylko. Pod nią jest już

<sup>35</sup> Więźniowie kryminalni byli poważnym zagrożeniem dla więźniów politycznych. Oficjalnie goszono, iż przestępstwa kryminalne popełniane przez ludzi pracy były rezultatem warunków bytowych, będących skutkiem panowania caratu, które władza radziecka szybko i nieodwracalnie zlikwiduje; tym samym uważano kryminalistów za element zasadniczo nie zagrażający władzy radzieckiej, co w konsekwencji prowadziło do ich swoistego uprzywilejowania w porównaniu z więźniami politycznymi. Tworząc zwarte środowiska w więzieniach i obozach wielokrotnie prześladowali oni — przy bierności, a nawet za milcząca aprobatą władz — więźniów politycznych, okradając ich i zmuszając do różnych świadczeń, nie cofając się przed brutalną przemocą fizyczną, a nawet zabójstwami.

<sup>36</sup> Kolchoz (ros. колхоз, skrót od: коллективное хозяйство) — kolektywne (spółdzielcze) gospodarstwo rolne.

<sup>37</sup> Sowchoz (ros. совхоз, skrót od: советское хозяйство) — państwowe gospodarstwo rolne.

<sup>38</sup> Chodzi tu o tzw. artele zajmujące się drobną produkcją przemysłową i rzemieślniczą oraz usługami.

<sup>39</sup> Tundra — bezleśna strefa roślinna w północnej strefie podbiegunowej; składa się z porostów, mchów, krzewinek, karłowatych brzoź i wierzb.

<sup>40</sup> Wieczna zmarzlina — stale zamarznięta warstwa gruntu o różnej grubości, odmarzająca powierzchniowo tylko w krótkim okresie letnim; na wybrzeżach miąższość zmarzliny sięga 100–300 m.

ziemia nie zamrznięta. W tej to lodowej zamrzniętej warstwie znajdują się zamrożone mamuty, słonie, inne stworzenia właściwe dla gorącego klimatu, które przed wiekami żyły na naszym globie w tych podbiegunowych, dziś nie nadających się już do życia strefach.

Drugi, młody, też geolog, specjalista od poszukiwania i badania cennych metali, jak złoto, platyna, oraz bardzo rzadkich, w małych znajdujących się ilościach. W północno-wschodniej Syberii, w leśnej tundrze nad rzeką Kołymą, odkryto zasobne kopalnie złota. Pracują tam też aresztanci<sup>41</sup>. Mrozy i śniegi straszne. Dojazd możliwy latem rzeką z Morza Ochockiego, w zimie tylko aeroplanem. Obaj profesorowie sądzą, że aresztowano ich za to, że w wydanych pracach naukowych zbyt mało miejsca poświęcili chwaleństwu ustroju i sukcesów sowieckich.

Trzeci, bardzo sympatyczny staruszek, to historyk badający dzieje Jakutów i sam Jakut – Popow. Znal i przyjaźnił się z Wacławem Sieroszewskim<sup>42</sup>, gdy ten był w ich kraju. Cieszył się, że i ja go znam i prosił, gdy go zobaczę, oświadczyć mu dużo serdeczności. Mówił mi, że książka Sieroszewskiego *W kraju Jakutów* jest najlepszym dziełem o ich narodzie i kraju, że jej przekład na język jakucki i rosyjski jest podręczną książką każdego ineligentnego Jakuta i w ogóle każdego obywatela sowieckiego, który chce tę szeroką i wielką ziemię północno-wschodniej Azji i jej mieszkańców poznać. Z dosłyszanych i rozumianych rozmów zorientowałem się, że Żydzi są powszechnie bardzo nie lubiani, nawet znienawidzeni, że Sowiety wydzieliły dla nich we wschodniej Syberii nad Amurem duży i dobry teren na ich specjalnie żydowską republikę. Osiedliło się ich na razie dość

<sup>41</sup> Kołyma – zwyczajowe określenie sieci obozów w dorzeczu rzeki Kołymy. Sieć tych obozów zaczęła postawać od 1931 r. w związku z przemysłowym zagospodarowaniem dorzecza Kołymy obfitującego w złoża złota. Wtedy to powstał trust Dalstroj, a dla zapewnienia mu taniej siły roboczej – więźniów – utworzono Siewiero-Wostocznyje Łagieria (Siewwostlag). W 1941 r. na Kołymie przebywało 176,7 tys. więźniów (M. Etlis, A. Szyrokow, *Dalstroj* [w:] J. Siemiński, *Moja Kołyma*, Warszawa 1995, s. 117).

<sup>42</sup> Wacław Sieroszewski (1858–1945) – pisarz, podróżnik, działacz niepodległościowy; za działalność konspiracyjną w ruchu robotniczym zesłany przez władze carskie do Jakucji, głęboko interesował się kulturą Jakutów, czego rezultatem była głośna w swoim czasie książka pt. *Dwanaście lat w kraju Jakutów*.



Ryc. 8. Czernichów Górny – „dom lalek” od lewej Jadwiga Giedoryciówna-nauczycielka, w środku córka Teresa, obok żona K. Rdułtowskiego. Lipiec 1938 r.

sporo w stolicy tego kraju, ale na wieś do pracy nie poszli lub po pewnym czasie uciekli.

Obiad i wieczerzę w Swierdłowsku dano wyjątkowo dobrą, jak na więzienie. W tych warunkach pragnąłem parę dni tam wypocząć. Zaledwie jednak ułożyłem się spać na podłodze, wywołano mnie i szereg innych osób z rzeczami na korytarz, dano chleb i rybę i znowu powieziono na dworzec kolejowy.

W Swierdłowsku więźniowie znający Sybir opowiadali, że jest tam kilkadziesiąt obozów pracy, niektóre bardzo ciężkie, zwłaszcza w kopalniach, że ja jednak jako stary i chory zapewne będę skierowany do jednego z lżejszych, mianowicie do Marinska<sup>43</sup> lub Karagandy<sup>44</sup>, gdzie jest praca przeważnie rolnicza, i które leżą w Środkowej Azji<sup>45</sup>. Jechałem więc znowu 3 doby pociągiem nie wiedząc, gdzie wyląduję. Droga szła przez Kurhan Akmołiński. Wreszcie w Petropawłowsku, gdzie kolej się rozgałęzia, skierowano nas na Czytę, Karagandę do Karabasu, gdzie jest centralny punkt wyladowniczy olbrzymiego Karagandyjskiego Poprawczego Obozu Pracy Przymusowej.

Tam pociąg zatrzymuje się parę minut. Aresztanci nie zdołali wysiąść. Ja zbliżałem się w kolejce do wyjścia z moim tobołkiem w rękę, gdy pociąg ruszył. Konwojent pchnął mnie, by wyrzucić na tory, krzycząc, bym raczej „zdechł pod kołami pociągu”, niż jechał dalej. Uchwyciłem się rękami za klamkę i tak wisiałem, słaby i chory, otrzymując pchnięcia i razy. Byłbym rzeczywiście zginął pod kołami pociągu, gdyby nie jakiś naczelnik, który ujrzawszy to, pociąg na czas jakiś jeszcze zatrzymał.

<sup>43</sup> Marinsk (Marijnsk) (ros. Маринск) — obóz zlokalizowany w miejscowości o tej samej nazwie, ok. 300 km na wschód od Nowosybirska, jeden z głównych obozów syberyjskiego systemu obozowego, tzw. Sybłagu (wg niektórych źródeł — obóz centralny).

<sup>44</sup> Karaganda — miasto obwodowe w Kazachstanie, wielki ośrodek górniczo-przemysłowy; w Karagandzie znajdował się centralny obóz karagandyjskiego systemu obozowego (tzw. Karłagu), pełniący funkcję obozu rozdzielczego.

<sup>45</sup> Informacja nieścisła, bowiem Marinsk nie leży w Środkowej Azji, lecz na Syberii.

## 6. Obóz karagandyjski i stepy północnego Kazachstanu

Ze stacji kolejowej do obozu w Karabasie jest zaledwie kilkaset kroków. Gdy nas prowadzono, a był to już późny wieczór, zdołałem podziwiać piękne niebo gwiazdziste i czyste, świeże powietrze stepowe. Tak dawno już ani jednego, ani drugiego widzieć i czuć nie miałem możliwości. Wielka Niedźwiedzica, gwiazdy Polarna, Korona, Orzeł i niezliczone mnóstwo innych świeciły tak jak w Czernichowie, tylko mocniejszym, jaskrawszym blaskiem. Na duszy lżej się robiło. Dziękowałem Bogu za uratowanie od śmierci i możliwość patrzenia na te gwiazdy, na które właśnie może i Wasze oczy gdzieś tam w dalekiej Polsce są teraz zwrócone. A jestem daleko od Was, bodaj około 5000 km; zegar tutejszy o 3 godziny idzie naprzód. Gdyśmy latem wstawali o 4 rano do roboty, wy spałyście spokojnie, a zegary 1 godzinę dopiero w Polsce wybijały.

W obozie rozdzielczym w Karabasie załatwiono różne formalności i ulokowano nas w drewnianych barakach z narami, na których mieliśmy miejsce do spania, a były one urządzone na dwa piętra. Przebywałem tam około 3 tygodnie. Barak otoczony płotem z drutów kolczastych, na rogach wieżyce drewniane, a w nich straż uzbrojona w karabiny. W nocy dookoła płotu biegają na drucie specjalnie wytresowane złe psy. Dziedziniec oświetlony elektrycznością, by straż dobrze mogła obserwować, co się na nim dzieje, nie tylko w dzień, ale i w nocy. Mimo tego był tu wypoczynek fizyczny i moralny, po roku męki więziennej. Można było rozmawiać z ludźmi, których paręset było w tejże zagrodzie, a parę tysięcy w całym obozie rozdzielczym. Można spacerować po dziedzińcu dookoła baraku.

Od południowego wschodu niewysokie pasmo wzgórz, we wszystkich pozostałych kierunkach szeroki, otwarty, bezgraniczny step — całkiem bezdrzewny. Słońce wschodziło zza wzgórz czyste i piękne, ale najpiękniejsze były zachody. Takiej gry kolorów o najcudowniejszych, pastelowych odcieniach, nigdy nie widziałem i nie wyobrażałem sobie. Gdy kula złotego, zachodzącego słońca zbliża się już do szarzielonej powierzchni stepu, wschodnia część nieba nabiera fioletowej, coraz to ciemniejszej barwy; jednocześnie na zachodzie występuje cała gama delikatnych, subtelnych, pastelowych kolorów: różowych,

żółtych, fioletowych, pomarańczowych, niebieskich. Wiele takich zachodów słońca miałem możliwość obserwować – podobnych do siebie, a coraz to innych – i nigdy oczu od nich oderwać nie mogłem. Piękne bardzo jest nasze niebo i nasze polskie zachody słońca. Serce rwie się i tęskni do nich. Jednak trzeba przyznać, że zachody na stepach Azji Środkowej, a niebo w Persji mają piękno niezrównane.

Jedzenie mieliśmy tu też lepsze niż w więzieniu. Nie starczało ono na zaspokojenie apetytów, które zaczęły się zjawiać po rocznym wygłodzeniu i możliwości oddychania świeżym powietrzem. Postarałem się o pracę lampiarza. Nalewałem naftę do latarni w baraku, czyściłem je, zapalałem i gasiłem, a za to dostawałem dodatkową miskę zupy, wodnistej co prawda, ale lepszej niż w więzieniu – prócz niej była na obiad kasza. Znalazła się też jakaś milutka, zacna dziewczyna, Polka, nazwiska której niestety zapomniałem, która chodziła do pracy przebierać warzywa, a spotykając się ze mną codziennie przy obiedzie, wkładała mi po kryjomu do kieszeni parę cebul lub czosnku „buchniętego” przy robocie, a nawet i chleba z własnej niedużej porcji. Ratowała mnie jak mogła. Czasami przynosił mi cebulę Żyd Kotlar – kupiec z Łucka, gdzie miał sklep przyborów radiowych i rowerów. Cebulę jadłem z chlebem lub nawet samą posoloną. Czemu ci ludzie (a tak ich wielu w mojej biedzie, chorobie i niezaradności spotkałem), tak byli dla mnie dobrzy, pomagali i ratowali, Bóg tylko jeden wie, który mi ich zesłał. Ja niczym na to nie zasłużyłem. Gdy rozeszła się pogłoska, że mają mnie wysłać już do jakiegoś *otdielenija*<sup>46</sup>, dwóch aresztantów Niemiec i Rosjanin, obaj inteligentni ludzie, wiedząc, że jestem bez bielizny, ofiarowali mi każdy po 1 starej koszuli. Po raz pierwszy w życiu przyjąłem „jałmużnę” z rąk prywatnych, przykro mi było, ale miałem jednocześnie dla nich wdzięczność, bo gdyby nie te dwie koszule jedna na drugą włożone, doszczętnie przemarzłbym w drodze. Niektórym wydawano bieliznę, odzież i obuwie w obozie, jak się później zorientowałem tym, którzy mogli kierownikowi dać „łapówkę”. Mnie dawano niedwuznacznie do zrozumienia, że gdy-

<sup>46</sup> Otdielenije (ros. отделение) – jednostka organizacyjna systemu obozowego z własnym zarządem, posiadająca jeden lub kilka (kilkanaście) obozów (łagpunktów, uczestków, kolumn roboczych).

bym oddał zawiadowcy składu moją skórzaną kurtkę, kupioną w Wilnie na wystawie za 60 zł, a którą tu wyceniono na kilkaset rubli, to będę cały należycie wyekwipowany. Nie chciałem tego robić i pokutowałem za to niejednym razem i nawet ciężko. Po trzech mniej więcej tygodniach wyprawiono mnie z Karabasus bardzo słabo odzianego i prawie bosego, z grupą aresztantów do *otdielenija Espe*<sup>47</sup>, odległego o jakieś 65 km. Rzeczy nasze wieziono na furgonie, my szliśmy piechotą. Wyszliśmy w południe, pogoda sprzyjała, choć to był już początek listopada. Na wieczór doszliśmy do Dolinki, gdzie mieści się główny Zarząd Obozu Pracy, składający się z ok. 20. oddziałów, tzw. *otdielenij*, czyli wielkich, stepowych majątków, po kilka lub kilkanaście tysięcy ha każdy, te znów dzielą się na folwarki po rosyjsku: *uczastki*<sup>48</sup>. Nocowaliśmy w Dolince w baraku dla przejezdnych aresztantów. Nazajutrz ruszyliśmy w dalszą drogę. Pogoda fatalnie się popsuła. Sypał śnieg z deszczem i wiatr wiał w samą twarz. Nogi zmęczone i otarte od obuwia jeszcze z dnia poprzedniego, nabrzękły mi i tak okropnie bolały, że lzy mi kapały z oczu. Rozmokła glina oklejała stopy, że nie mogłem ich podnieść. Po przejściu paru kilometrów upadłem i zostałem na drodze. Wówczas zabrano mnie na wóz z rzeczami. Do nocy wlekleliśmy się w taką śnieżycę. Utrudzeni dotarliśmy do jakichś lepianek, któregoś z uczestków i tam nocowaliśmy, bo ani woły, ani ludzie iść dalej nie mogli. Na trzeci dzień koło południa przez „Nowoju Żizn” dotarliśmy do Espe, naszego miejsca przeznaczenia. Przed samym chutorem, tuż obok drogi, porwało się z wysokich stepowych traw duże stado dropii. Droga cały czas szła przez step, zda się bezkresny i z wyjątkiem samej Dolinki, zupełnie pozbawiony drzew.

W Espe, jak i wszędzie tutaj w siedzibach *otdielenij* oddalonych jedno od drugiego kilkadziesiąt kilometrów, stoi kilkanaście budynków glinobitych lub murowanych z tzw.

<sup>47</sup> Espe – 5 oddział (otdielenije) Karłagu (karagandyjskiego systemu obozowego) położony w odległości ok. 70 km od Karabasus (centralnego obozu przesyłowo-rozdzielczego Karłagu), duży obóz o charakterze rolniczym.

<sup>48</sup> Uczastok (ros. участок) – działka, odcinek, placówka; tu: obozowa jednostka organizacyjna wchodząca w skład oddziału (otdielenija).

„samanów”<sup>49</sup>, ze trzy razy większych niż normalne cegły — cegiel niepalonych, lecz tylko suszonych na słońcu, które zresztą w lecie pali tu mocno. Robi się je z gliny mieszanej z nawozem i małą ilością plew lub tartej słomy i układa się w ścianie na glinie. Domy są niskie, trochę wkopane w ziemię, o płaskich dachach. Wiązanie dachu składa się z kilku cienkich belek, na których leżą maty splecione z gałązek karaganu. Na wierzchu warstwa gliny nieco pochyło ułożonej, by deszcz rzadko tu padający mógł spływać. Śnieg zrzuca się łopatami.

Karagan jest to krzew z rodzaju akacji, żółto kwitnący, jak nasza żółta akacja. Jest to jedyna roślina krzaczasta, prócz łoży rosnącej nad rzeczulkami, która tu jest powszechna i używana na opał, kosze, maty i inne wyroby. W Czernichowie mieliśmy 2 krzaczki karaganu: w ogródku Tereni i na trójkątnym gazonie na wprost bramy wjazdowej. Tutaj jest niszczone strasznie. Rąbią ją przy ziemi ciężkimi, ostrymi motykami, które nazywają „ciapka”. Odrasta z korzenia, ale coraz słabiej i jeżeli tak niszczyielski wyrąb będzie trwał dalej, za lat kilkadziesiąt może zaniknąć zupełnie. Od niej to step też zowią karagandyjskim, a stolicę całego okręgu Karagandą. Okręg ten należy do północnego Kazachstanu, olbrzymiego kraju, czyli ziemi Kazachów, dawniej zwanych Kirgizami<sup>50</sup>. Ta ostatnia nazwa jest uważana za pogardliwą. Na stepach Karagandy dawniej bogaci Kirgizi mieli olbrzymie stada, przeważnie owiec i bydła. Od przewrotu ich nie ma, a ziemia zajęta pod obóz pracy<sup>51</sup>.

<sup>49</sup> Samany — cegły formowane z gliny, niejednokrotnie z dodatkiem szezki i ewentualnie nawozu zwierzęcego, suszone na słońcu, służyły do wznoszenia budowli mieszkalnych i gospodarczych.

<sup>50</sup> Kazachowie — lud turańskiej grupy językowej. Niekiedy można się też zetknąć z wywodzącym się z tradycji dziewiętnastowiecznej nazywaniem ich Kirgizami lub Kajsa-Kirgizami w odróżnieniu od Kirgizów właściwych (Karakirgizów), należących do tiurkskiej grupy językowej ludów altajskich.

<sup>51</sup> W Kazachstanie władze radzieckie od przełomu lat dwudziestych i trzydziestych przystąpiły do intensywnego wprowadzania nowej, socjalistycznej struktury własności, a także do radykalnego przekształcania form życia i gospodarowania ludności kazaskiej, zmuszając ją do porzucenia koczowniczego czy półkoczowniczego trybu życia i stałego osiedlenia się w kolchozach i sowchozach. Przymusowa próba narzucenia tych rozwiązań doprowadziła do dramatycznych następstw ekonomicznych i demograficznych. Praw-

Częściowo jest to step dziki, olbrzymią trawą wielkości człowieka i wyższą porosły, częściowo wyorany traktorami na pola uprawne. Miejscami są przestrzenie ziemi solą przesiąkniętej, która jak biały nalot występuje na powierzchni. Tam nie ma roślinności prawie żadnej.

Na polach uprawnych sieją pszenicę, trochę żyta, jęczmień, owies, proso — próbują sadzić kartofle. Zboża są liche, a choć dwukrotnie, a nawet trzykrotnie pielone, bardzo są zachwaszczone. Urodzaje słabe. Na lepszych kawałkach sieją słonecznik, głównie na paszę silosową, oraz lucernę i warzywa. Pól nie nawożą. Obornik gnije na kupach, lepszy idzie na opał w formie cegiełek lub do wyrobu „samanów”. Miejscami używają nawozy sztuczne. Używa się przy tym maszyny motorowe, traktory i dostosowane do nich pługi, brony, siewniki, żniwiarki, oraz kombajny typu amerykańskiego robione w Rosji. Na żelazie kantowym, użytym do budowy większych i bardziej precyzyjnych maszyn, widnieje napis: „Królewska Huta”, świadczący, że materiał ten z Polski pochodzi. Inne maszyny ciągnięte są przez woły, nieco rzadziej konie, a jeszcze rzadziej przez dwugarbne wielbłądy. Zabawnie wygląda dla oka obcokrajowca, Europejczyka, żniwiarka w parę dwugarbnych wielbłądów zaprzęzona, często z małym wielbłądźką z tyłu. Najwięcej hodują owiec z „kurdzinkami”. Jest to duża, mięsna owca szarobiała lub ruda, z dużymi dwoma kulami tłuszczu na obu częściach

dziwie katastrofalny był spadek pogłowia zwierząt hodowlanych: bydła z 6,5 mln sztuk w 1928 r. do 1,36 mln sztuk w 1933 r., owiec z 19,2 mln do 2,1 mln sztuk, koni z 3,55 mln do 0,53 mln sztuk, trzody chlewnej z 253 tys. do 74 tys., wielbłądów z 1,1 mln do 0,09 mln sztuk. Upadek hodowli, tradycyjnie będącej podstawą bytu Kazachów, pociągał za sobą niezwykle konsekwencje demograficzne. Według spisu ludności w 1926 r. w Kazachstanie zamieszkiwało 6,1 mln osób, z czego 5,5 mln na wsi. W styczniu 1939 r. na terenie republiki pozostawało 5,2 mln osób. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę urodzeń w tym okresie oraz przybycie do Kazachstanu wieluset-tysięcznej rzeszy przymusowych przesiedleńców, to straty ludnościowe okazały się kolosalne. Szacuje się, iż liczba ofiar głodu i chorób tylko w latach 1932–1933 sięgnęła 1,75 mln (S. B. Nurmuchamiedow, W. K. Sawos'ko, R. B. Sulejmanow, *Oczerki istorii socyjalistycznego stroitelstwa w Kazachstanie (1933–1940 gg)*, Alma-Ata 1966, s. 189; M. K. Kozybajew, *Nacyonalnyje otnoszenija w SSSR nakanunie i w gody Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny*, „Wiestnik Akadiemii Nauk Kazachskoj SSR” 1990, nr 1, s. 10).

pośladka. Krzyżują ją teraz z trykami rasy Rambonillet, o cienkiej wełnie, sprowadzanymi z Krymu, gdzie mają hodowlę zasilaną materiałem zagranicznym.

Bydło rogate czerwone, białogłowe, jakoby amerykańskiego pochodzenia, mało mleczne. Konie stepowe podrasowane, mocnej budowy, wytrzymałe, o brzydkich głowach i kształtach nieszlachetnych. Wielbłądy duże, dwugarbne, jak wszędzie w Azji Środkowej. Zwierzę to ma smutny zdeterminowany wyraz jakby zamysłonych oczu. Na człowieka patrzy z pogardą. Uderzone lub ponad siły objuczone odwraca oczy lub całą głowę ku woźnicy i wydaje krótkie, urywane, a czasem groźne dźwięki, zupełnie jakby robiło ostre wymówki lub groziło. Jeżeli to nie pomaga zbiera ślinę i pluje w twarz człowiekowi.

Z dzikich zwierząt dużo jest wilków i szakali, mniej lisów. Latem w sitowjach nad rzekami zdarza się tygrys. Bywają też dziki. Z ptactwa dużo żurawi, gęsi, kilka rodzajów kuropatw, kaczek, dropii, poza tym sroki, dudki, wróble. Bocianów nie ma, wron nawet mało, nie ma ptactwa gnieźdzącego się na drzewach, bo drzew nie ma! Skowronków też niedużo, jaskółki przylatują na lato, pliszki też się zjawiają. W zimie śnieżne burany<sup>52</sup> przepędzają pod osiedla stada ptasząt wielkości szpaka i o podobnych ruchach, dwóch rodzajów: jedne czarne z popielatą szyją, drugie białe w czarne plamy. Ludzie łapią je i mordują setkami. Nie darmo jeden z inteligentów rosyjskich pytany o faunę stepową powiedział mi: „Od czasów nastania swobody, nie tylko Kirgizi się stąd wynieśli, ale też zwierzęta dzikie i ptactwo gdzieś do Chin się wyniosło”<sup>53</sup>.

<sup>52</sup> Burany — gwałtowne zamiecie śnieżne.

<sup>53</sup> W latach trzydziestych, w obliczu kolektywizacji, przymusowego przechodzenia na osiadły tryb życia oraz towarzyszącego tym procesom głodu, nastąpiły znaczne migracje ludności kazaskiej zarówno do sąsiednich republik ZSRR, jak i do Chin. Szacuje się, że na początku lat trzydziestych z Kazachstanu uciekło ponad 1 mln osób, z czego ok. 200 tys. znalazło schronienie w Chinach. Istnieją wszakże i inne oceny, wskazujące, że w latach 1930—1932 poza granice ZSRR z Kazachstanu uciekło 1,3 mln osób. Zob.: Z. B. Abyłchożyn, M. K. Kozybajew, M. B. Tatimow, *Kazachstanskaja tragiedija*, „Woprosy istorii” 1989, nr 7, s. 67; J. A. Poliakov, W. B. Żyromska, I. N. Kisielew, *Polwieka molczanija (Wsie-sojuznaja pieriepis nasielenija 1937 g.)*, „Socjologiczeskije issledowanija” 1990, nr 6, s. 23.

Najciekawszą i najbogatszą jest naturalnie flora stepów azjatyckich, ale ją poznałem dopiero wiosną i latem. Teraz w listopadzie step był szary, nocne przymrozki ze szronem i długotrwała letnia i jesienna posucha naprzód spaliły, a potem zamroziły resztki roślinności. Klimat tu jest kontynentalny. Opady śniegu dość częste w późnej jesieni i zimie, w pozostałym okresie prawie się nie zdarzają — od czasu do czasu silne wichry, wielka rozpiętość między temperaturą zimy i lata, nocy i dnia.

Do Espe przybyłem bardzo osłabiony i chory. Po załatwieniu formalności i dania mi numeru — 19678 — pod którym miałem figurować przez cały pobyt w obozie, wyprowadzono mnie do baraku nr 16, bodaj najgorszego w całej tej fermie, zagłębionego w ziemi, gdzie ulokować się musiałem na narach obok innych 30. aresztowanych, z czego połowę stanowili złodzieje. Zaraz też zostałem okradziony. Zabrano mi buty bez podeszew, już wprawdzie, ale z dobrymi cholewkami, które tu cenią na wagę złota. Skradziono ręcznik, chustki do nosa. Zostało mi tylko to, w co byłem ubrany, łącznie z kurtką skórzaną, na którą ciągle zazdrośnie spoglądano. Czułem się bardzo źle, większą część dnia leżałem. Po jedzeniu chodziliśmy z kociołkami do kuchni: na śniadanie było trochę kaszy, na obiad zupa i kasza, na wieczerzę zupa. Z rana dostawaliśmy też po 600 g chleba.

Po tygodniu kazano mi wraz z innymi udać się do odległego o 6 km *uczastka* Turumbek, należącego do oddziału w Espe. Turumbek to mała ferma. Tylko kilka baraków oraz stajnia, 3 duże owczarnie na tzw. „bazie”. Poza tym jeden duży budynek oddalony o 1,5 km w głuchym stepie, dawna szkoła kirgiska, gdzie teraz lokowano aresztowane kobiety, a w drugim kierunku też w stepie 2 gliniane baraki o 3/4 km od „bazy”, nazywane „Otorwanowka”. W jednym z tych baraków umieszczono mnie w towarzystwie starego Żyda z Morawskiej Ostrawy Tejchnera oraz 5 młodych sowieckich bandytów: Miszczenki, Smirnowa, przezywanego Cyganikiem, Ali Agasijewa Turka z Kaukazu, Fiedki i jeszcze jednego, którego nazwiska nie pamiętam. W drugim baraku było kilku rzemieślników, m.in. Polak — kowal z Janowa Poleskiego Jan (?), szewc Plat, stróż nocny a buchalter z zawodu Antopin i inni.

W Turumbeku spędziłem więcej niż 2 miesiące niezmiernie ciężkie. Przybyłem tam już chory, z osłabionym sercem, obrzękłymi i bolącymi nogami, wycieńczony do ostatnich granic.

Tu znów dobijało towarzystwo bandytów i bardzo ciężka zima. Ponieważ nie mogłem pracować,znaczono mnie dozorcą baraku. Miałem go zamiatać, przynosić wodę do picia wiadrami ze studni, odległej ok. 1 km, i pilnować całości rzeczy. Po paru dniach pobytu, gdy Tejchner poszedł po obiad dla siebie i dla mnie do kuchni, a ja zostałem pilnować jego rzeczy, młodzież bandycka nie wyszła na obiad. Usiadłem na worku, zawierającym majątek Tejchnera, po chwili pchnięto mnie i rzucono na ziemię tak, że z trudem się podnosiłem, rozwiązano worek i wysypano jego zawartość. Zwróciłem się do nich z prośbą, żeby nie stawiali mnie w przykrym położeniu i rzeczy nie brali. Mówiłem, że nie chcę ich skarżyć przed władzą, bo czuję odrazę do donosicielstwa, ale będąc postawiony na straży rzeczy Tejchnera, będę zmuszony to zrobić, żeby się zastanowili nad moją sytuacją. Jeden zagroził, że gdybym doniósł, to po nocy już żywy z baraku nie wyjdę, ale starszy wiekiem Miszczenko doradził towarzyszom rzeczy nie brać. Złożyli je do worka, odstawili na miejsce. W chwili, gdy Tejchner wracał z obiadem, jeden z nich podbiegł do worka, mówiąc, że nie jest dobrze zawiązany i zrećnie wyciągnął parę bucików, które przedtem umyślnie położył na wierzchu, tak że ani ja, ani Tejchner nie zauważyliśmy kradzieży od razu, dopiero po kilku godzinach. Żyd naturalnie milczał w strachu o życie. Po pewnym czasie z worka Tejchnera nie zostało nic, mnie natomiast zabrali czapkę skórzaną, pantofle, rękawiczki wełniane i właściwie wszystko. Zostało mi tylko stare porwane ubranie, para bielizny na sobie w dzień i w nocy, kurtka skórzana i zupełnie porwane walonki. W dzień wszystko to miałem na sobie, w nocy kurtka służyła za kołdrę. Pod bok i głowę podścielałem sobie trochę trawy wyskubanej ze stert w stepie, ale za każdym razem bandyci odbierali to dla siebie albo na podpalenie w piecu. Spałem więc na gołej ziemi.

Na obiady chodziłem do jadalni, znajdującej się obok kuchni. Jedzenie było niezłe: rano gęsta kasza, najczęściej jaglana, często z łyżką oleju, co bardzo nam smakowało. Na obiad zupa i kasza, ale wieczery mi nie dawano, gdyż byłem zaliczony do inwalidów i nie pracowałem. Na obiad dawano 600 g chleba. Po pewnym czasie pozyskałem miłosierdzie starej kobiety, matki kucharki, która pomagała jej gotować, i gdy nikt nie widział, nalewała mi pełny kociołek zupy na

wieczerę. Chleb trzeba było ciągle pilnować, bo towarzysze niedoli – bandyci, stale nań polowali i wielokrotnie u Tejchnera i u mnie go kradli. Byli głodni i pół nadzy. Do żadnej pracy iść nie chcieli, choć byli młodzi i silni. Próbowano ich przekonać, namówić, ale to nie pomagało. Zażądali ciepłej odzieży obiecując, że wtedy pójdą do pracy. Przyniesiono watowane ubrania i walonki dla dwóch, bo więcej na składzie nie było. Dwaj się ubrali i zapowiedzieli, że dalej do pracy nie pójdą, dopóki reszta nie dostanie ciepłej odzieży. Ponieważ odzieży nie było, targi trwały długo, ale na próżno.

Głównym, ale cichym przywódcą był Fiedia – ten wszystkim dyrygował i kierował. Po nocach odbywały się szeptki, które nie śpiąc słyszałem. Do niego przychodziła stale kochanka Luba, młoda i przyzwoicie wyglądająca dziewczyna, która była paserką kradzionych rzeczy. Najbardziej krewkim i gwałtownym był Ali Agasijew, ładny, zgrabny 19-letni brunet, Turek czy Tatar kaukaski, gotowy w każdej chwili zabić człowieka, a przy tym mający w sobie coś sympatycznego. Smirnow nazywany Cyganinkiem był podłym, drobnym złodziejaszkiem, sprytny do kradzieży, a udający uległe niewiniątko. Miszczenko, starszy, zagrożony suchotami, był zmęczony życiem złodziejskim i nie raz gotów był z niego się wycofać. Jego specjalnością było oszukiwanie przy grze w karty, których w obozie mieć nie wolno, ale które bandyci sobie zrobili. Gdy czasem w nocnych rozmowach Miszczenko próbował nawracać na inne postępowanie lub wycofać się z procederu, banda zarzucała mu zdradę, sprzeniewierzenie „honorowi i etyce stanu złodziejskiego”, groziła pobiciem lub śmiercią. Wówczas to najostrzej występował Fiedia.

Życie z tą bandą, okropnie ciężkie i męczące, było jednak ciekawe. Jakiś dobry psycholog, uzdolniony literacko, mógłby na podstawie zrobionych tu obserwacji interesujące dzieło napisać. Mnie, mówili nieraz, zabierając mój chleb czy inne rzeczy, że jako człowiek stary i chory powinienem prędko umrzeć. Tłumaczyli to w ten sposób: „Po co ci to, umieraj prędej, boś stary. W Polsce miałeś życie dobre, tu jesteś i tak od nas szczęśliwszy, bo my nigdy nie zazналиśmy dobrego”. Jednak wkrótce do mnie przywykli, nazywali *dieduszka* – dziadzio, a nawet po pewnym czasie przestali odbierać chleb. Kilka razy słyszałem w nocy, jak któryś chciał wyjąć chleb z mojej torby wiszącej nad głową, szeptki innych: „starego

dieduszki nie ruszaj". Nieraz perswadowałem im, żeby się przestali awanturować, że szkoda ich młodego życia itp., że jak tak dalej pójdzie, to ich tu zamęczą, zamrożą, zagłodzą lub wprost zabiją. Słuchali uważnie, ale odpowiedź była jedna: że i tak żyć nie ma po co, choć prędko termin ich kary się skończy, szczęścia w życiu nie znajdą, znowu trafią do więzień lub obozów pracy i tak będzie aż do śmierci. Gdy do roboty nikt z bandytów nie poszedł, a Ali pobił jeszcze brygadzystę, odebrano całemu towarzystwu ubrania i obuwie, pozbawiono kolacji i połowy porcji chleba oraz drugiej potrawy na obiad.

Do baraku naszego wsadzono też Chińczyka, prawie gołego, który też nic robić nie chciał i udawał, że nie rozumie po rosyjsku. Podejrzewano go, że jest szpiegiem japońskim. Banda wzięła jego natychmiast na swoje usługi. Gdy nie posłuchał, rzucono go na ziemię, bito i kopano nogami. Odtąd Chińczyk był posłuszny, biegał z bosymi nogami w najgorszy mróz z wiadrzem po wodę, pomagał kraść opał itd.

Na głód znaleziono sposób. Prawie co nocy odbywała się wyprawa po produkty. Miszczenko i Fiedka pozostawali w domu, przygotowywali paliwo do pieca z wyrwanych ram okiennych w nie zamieszkaną część baraku, drzwi oraz mat. Chińczyk nosił z daleka wodę i drewno na opał, a pozostała trójka okradała kuchnię lub skład produktów w samym Turumbeku, a w lepszą pogodę szła do Espe. Czasami przynoszono jagnię lub psy owczarskie, które zabijano starannie ukrywając sickierą. Bardzo mi było żal tych pięknych psów. Gdy łupy już były w baraku, część gotowano, a część ukrywano w stepie. Ucztowano niemal do rana. Chińczyk dostawał ochłapy, ale i tym nie gardził. W nocy przychodziła warta, ale wszyscy byli na miejscu i spali. Rano wpadała straż z groźbami i krzykiem, żądając zwrotu pokradzionych rzeczy. Ze skromną miną odpowiadano, że byli głodni i wszystko zjedli. Wtedy konwojowane przez strażników towarzystwo odnosiło rondle i wazy do kuchni lub naczelnikowi fermi w Turumbeku, wysłuchiwało jego morałów i połajanek, (dla złodziei władze były o wiele, wiele pobłażliwsze niż dla politycznych więźniów) i wracało do baraku. Tam przychodził politruk, pilnujący wychowania w duchu komunistycznym, obiecywał poprawę losu, jeżeli zmienią swe postępowanie, potem bractwo spało do wieczora, by znów iść na „łowy”. Raz podczas pobytu u naczelnika potrafilo ukraść mu papierośnicę z papierosami!

W tak „miłym” gronie czas mój włókł się monotennie. Tymczasem srożyła się zima wyjątkowo surowa. Mrozy był silne, dochodzące do  $-30$  stopni i wyżej. Mówiono, że przez całą zimę 1939/40 były tu tylko dwa silne „burany”, teraz co parę dni przychodziły jeden po drugim. Kto nie widział takiego buranu w stepach azjatyckich, nie zdaje sobie sprawy, co to za straszne zjawisko. Nasze najbardziej groźne zamiecie są tylko zabawką w porównaniu z nimi. W cichy, słoneczny, mroźny dzień zimowy zaczynają się zbierać gdzieś na skraju nieba, najczęściej wschodnim, mgliste, szare obłoczki. Podnoszą się one coraz wyżej, niebo robi się ołowiane, nagle przychodzi szum i łosot, jak u nas przed gradem. Wpada fala wichru tak szalonego, że rzuca człowieka na ziemię. Z trudem wstajesz i walisz się znowu. Po ziemi miecie śnieg i śnieg pada z góry — suchy, drobny jak pył i gęsty jak pył. O kilka kroków dosłownie nic w biały dzień nie widać. Przed chwilą wyszedłeś z baraku, wiesz, że jest on 10–15 m od ciebie, ale że ślady w oka mgnieniu zanosi, że już cię wichur parę razy wywrócił, a parę obrócił — nie wiesz, w którą stronę się posuwać, by wrócić do baraku, a nie w step, gdzie czeka śmierć niechybna. Naczelnik, aby móc przejść ze swego baraku do oddalonej o 30 kroków kuchni i biura, przeciągnął linę między tymi budynkami i „podróżował” trzymając się jej. My siedzieliśmy w barakach głodni i zziębnięci, gdyż o pójściu po jedzenie lub opał nie było mowy. Zwykle buran trwał nie więcej niż dobę. Gdy się kończył, trzeba było odkopywać baraki spod śniegu. Gdzie drzwi udało się otworzyć, ludzie wyłazili, brali łopaty i odkopywali innych. Liczba ofiar w ludziach i zwierzętach była duża. W naszym tylko okręgu kilkanaście osób zginęło, zamarzło w stepie, setki miało odmrożone kończyny. Młoda Ukrainka Marusia, dozorująca młode konie nie używane do pracy, codziennie po napojeniu i daniu obroku puszczała je w step, gdzie spod śniegu wyskubywały trawę lub skubały tą, która sterczała nad śniegiem, zauważyła, że zbliża się buran. Długo nie myśląc, wskoczyła na oklep na konia i popędziła w step po swoje ulubione żrebaki. Buran nadleciał pierwiej niż się spodziewała. Krzyczano, bito w żelazną szynę — dzwon, na dachu w stajni wywieszono palącą się latarnię w nadziei, że to ułatwi Marusi kierunek powrotu. Na próżno. Na trzeci dzień odnaleziono wszystkie konie zdrowe i całe, gdyż schowały się gdzieś za stertę siana — i zamarznęty trup Marusi.

Trupów tych było sporo, zwłaszcza w Espe, gdzie był szpitalik. Amputacje rąk i nóg dokonywano aż w Dolince. U niektórych odmrożone palce same poodpadały. Ja miałem odmrożone palce u rąk i nóg, tak że większość z nich straciła czucie, i przeziębiony pęcherz. Ta ostatnia dolegliwość dokuczała wielu ludziom a była bardzo przykra, gdyż zmuszała do wychodzenia w ciągu jednej nocy po kilkanaście razy na chłód i zimno. Zdrowie moje pogarszało się z dnia na dzień. Chłód, niedojadanie, brak tłuszczu, cukru i witamin, walenie się na wilgotnej ziemi, denerwujące towarzystwo, wszystko to wpływało fatalnie na moje zdrowie. Ale nerwy tępiły się, jakby kamieniały stopniowo, pozostała wiara i nadzieja na miłosierdzie Boże, modlitwa i optymizm Tejchnera, który też wierzył, że Bóg nas uratuje — podtrzymywały na duchu.

Felczarka Turumbeka o rosyjskim nazwisku po mężu, pochodząca z polskiej rodziny, też aresztantka, zaopiekowała się moim zdrowiem. Co dzień wlokłem się z trudem do jej baraku, cały kilometr po śniegu i mrozie, by dostać strychninę, która mnie podtrzymywała. Pewnego dnia zrobiło mi się w tym jej niby ambulatorium słabo — termometr pokazywał 39 stopni. Nie miałem siły wrócić i trzy dni przeleżałem u poczciwej kobiety na tapczanie. Dowiedziałem się wówczas, że choć wstydzi się mówić po polsku, gdyż dużo słów zapomniała, ale wie, że jest Polką i w sekrecie modli się po polsku. Sprowadziła ona komisję lekarską, która mnie zbadała, uznała że stan zdrowia jest groźny, serce osłabione i nie wyklucza katastrofy, czyli śmierci po prostu. Komisja dała mi 85% niezdolności do pracy. Odtąd wystarczyło mi spleść dziennie jedną matę z gałęzi karaganu, by uzyskać prawo do wieszarki i pełną normę chleba. Miałem przy tym dozorować robotę innych.

Moi przyjaciele bandyci dla otrzymania chleba zgodzili się spleść maty. Rano, gdy przychodził brygadzysta — też aresztant — pletli we dwóch jedną matę. Przed obiadem ja zapisywałem ile kto mat wykończył i gotowe składano na kupę obok. Po obiedzie bandyci mieli już dwie maty gotowe, oczywiście wyjęte z kupy, zrobione przez innych. Tak odbywała się w obozie praca „akordowa”, a innej jak akordowa Sowiety nie uznają. Trzeba zauważyć, że u nas w przedsiębiorstwach prywatnych socjaliści gwałtownie ten rodzaj pracy zwalczają, ale tam, gdzie

mają władzę i własne przedsiębiorstwa, tylko ten jeden stosują<sup>54</sup>.

Na buranach, chorobie i pleceni mat schodził mi grudzień. Wigilia Świąt Bożego Narodzenia, tym się różniła od innych, że dłużej się modliłem i bardziej tęskniłem za domem, do swoich, wspominając ostatnią wigilię w Czernichowie. Książd Borodicz z Bieniewskim na polowaniu, lis upolowany przeze mnie, Zosieńka Moja zalatana przygotowuje przysmaki, Terenia z Gieniusiem przygotowują się do choinki, Żenia pomagająca Zosi, potem wieszarka wigilijna w naszej pięknej jadalni, 12 potraw, choinka, a pod nią prezenty, wreszcie miły ogień na kominku w najmiłszym chyba naszym pokoju, bibliotece. Niezasłużone miałem szczęście, niezasłużone chyba skarby w Tobie Najdroższa Zosiu Moja, w Tereńce, w ś.p. Rodzicach, Braciach moich, w pięknym Czernichowie, przemiłym i ładnym domu i we wszystkim co mnie otaczało. Słusznie winienem za to odpokutować jeszcze na tym świecie. Opatrzność Boża sama tak kieruje, bym się poprawił z grzechów, a jednocześnie lepiej ocenił Jej łaski, z których korzystałem dotąd. Może czystszy będę mógł za to stanąć przed Panem Wszechmogącym w godzinę Sądu Ostatecznego, wszak Dobroć i Sprawiedliwość Boża jest bezgraniczna.

W początkach stycznia przyszedł buran tak straszny, jak żaden poprzedni. Trwał prawie trzy doby. Po jedzeniu nie mogliśmy wyjść. Barak coraz bardziej zasypywało. Do wnętrza nagnało śniegu, który połykaliśmy z głodu i pragnienia. Potrzeby naturalne zaspokajano w baraku. Chłód i zaduch był okropny! Czterech bandytów jakoś się w końcu wydostało. Ja drzemałem w kącie, Tejchner spał obok. Był to już trzeci dzień buranu. Ocknąłem się i rozumiałem, że nadchodzącej nocy już nie przeżyję. Próbowałem budzić Tejchnera, był na wpół przytomny, jakby oczadziały. Chińczyk w kątku drzał z zimna i płakał. Na warstwie ułożonych samanów i garści siana spał nakryty jakimś łachmanem

<sup>54</sup> Autor nie rozróżnia tu socjalistów od komunistów, podczas gdy różnice ideologiczne, doktrynalne i taktyczne między tymi dwoma nurtami politycznymi miały zasadniczy charakter. W ZSRR władzę sprawowała partia komunistyczna nie tylko nie mająca z rzeczywistym ruchem socjalistycznym nic wspólnego, ale aktywnie go zwalczająca.

Fiedia. Podeszedłem, rozbudziłem go i przedstawiłem, że śmierć się do nas zbliża, ale jeszcze możemy ratować się przez niezasypaną górną szybkę okna. Prosiłem, by je wyłamał, bo ja sam nie mam siły. „Lepsza śmierć, niż takie życie” — odparł Fiedia i nie chciał się ruszać. Po długich perswazjach namówiłem go. Wstał i po wielu próbach i wysiłku połamał ramę okienną. Podniósł mnie ku górze — z wielkim trudem wypelzłem na śnieg przez mały wolny otwór. Potem Fiedia podsadził Tejchnera, ja go z góry ciągnąłem za rękę. Żyd był ledwie żywy. Chińczyk uparł się i bał się wylazić przez okno. Nie było siły go zmusić. Został na razie. Wówczas pomogłem wydostać się Fiedii i byliśmy tylko trzej na śniegu, na buranie, ale też i na wolności. Śnieg padał rzadszy, sąsiedni barak było widać. Ja nie mogłem wstać, więc pełzałem na brzuchu po śniegu do tego baraku. Fiedia ciągnął tamże Tejchnera. Dobiliśmy szczęśliwie. Tam było pełno. Palilo się w piecu, gotowali wodę, mieli trochę chleba. Byliśmy uratowani. Wkrótce poszła grupa trzech młodych mężczyzn i przemocą wywlokła Chińczyka.

Nazajutrz rano buran stopniowo przycichał. Przyszła poczciwa felczerka ze strażnikiem i lekarstwami i ucieszyła się widząc nas żywych. Ja jednak tak osłabłem, że wstać nie mogłem. Zbadala puls, dała krople i powiedziała, że gdy tylko będzie można jechać, odesła mnie do szpitalika w Espe, bo już jest niedobrze. Po paru dniach zaprzężono sanie, wyprowadzono mnie pod ręce i posadzono na nich, ale siedzieć nie miałem siły. Osunąłem się na dno, prosiłem tylko, by mnie nakryto brezentem i drzemałem. Na saniach było jeszcze kilka osób z odmrożonymi kończynami. Powoziła dziewczyna. Po godzinie, gdyśmy stanęli przed biurem w Espe, odkryła ona brezent i zawołała ze zdziwieniem: „Patrzcie dieduszka żyje! A ja się bałam, że...” — i nie dokończyła.

W biurze załatwiono czynności ewidencyjne, ale do szpitala mnie nie odesłano, a wyznaczono znowu najgorszy i najbardziej zasypany śniegiem barak nr 16. Z braku sił w sionkach przed biurem położyłem się na kupie — resztek pozostałych po pleceni mat. Ogarnęła mnie znowu drzemka. Po chwili jednak wyrzucono mnie stamtąd i kazano iść albo do baraku, albo do ambulatorium. Przy pomocy ofiarowanej mi przez kowala Jana N. w Turumbeku grubej pałki, zrobionej ze złamanego trzonka od „ciapki”, powlokłem się w kierunku ambulatorium, tak jak i barak nr 16 daleko

położonego od biura. Gramolenie się po zaspach sypkiego śniegu, było dla mnie bardzo trudne. Doszedłem do jakiegoś baraku po drodze, oparłem się o ścianę i zemdlałem. Byłbym tam chyba usnął na wieki, gdyby nie nowa Łaska Opatrzności Bożej. Z baraku wyszła jakaś mała staruszka, Rosjanka, zawołała po chwili drugą kobiecinę i zawlokły mnie do małej izdebki w baraku, gdzie na kuchni suszyły się przemokłe walonki robotników. Rozgrzałem się koło gorącej płyty i drzemałem. Chciały mi dać chleba, ale połykać nie mogłem. Dały mi więc gorącej przegotowanej wody, wypilem jej kilka kubków i poczułem się lepiej. Wróciło mi tyle sił, że choć do ambulatorium nie poszedłem, bo było już zamknięte, dobrnąłem jednak do baraku nr 16, wgramoliłem się na nary i leżałem tam dni kilka drzemiąc. Jedzenie przynosili mi koledzy aresztanci: Kolago z Baranowicz i Aniszak lub Kotlar. Antipin jako chory był też odesłany do Espe z Turumbeku, wyglądał nieźle, sam dziwił się po co go odesłali, ale gaś zwolna i umarł w tymże baraku. Nade mną Bóg znowu się zmiłował.

Po paru dniach do naszego baraku przyszedł główny buchalter, kierujący biurem w Espe, też aresztant — Popow, zdolny, bystry i inteligentny młody człowiek. Spytał o zdrowie, dziwił się, że tak marnie wyglądam, i powiedział mi, że jeżeli nie chcę w tym baraku umrzeć, to muszę zebrać wszystkie siły i wyteńczyć wolę, by pójść do jego biura. Wówczas weźmie mnie do biurowej pracy, będę pracował w ciepłej izbie, siedział na krześle i pisał, a on wystara się dla mnie o lepsze jedzenie, poza tym o dobry barak, tzw. „techniczny”, gdzie sam też mieszka. Nazajutrz poszedłem do biura buchalterii i zostałem przyjęty jako bezpłatny pracownik — inwalida — sekretarz biura. Prowadziłem dziennik korespondencyjny, przechowywałem i zszywałem akta i rachunki, wysyłałem pisma, a niektóre mniejszej wagi sam pisałem. W biurze pracowało jeszcze kilkanaście osób, 4 mężczyzn i 8 kobiet. Pracowano od 8 rano do 3 po południu z przerwą 30 minut na obiad, a potem znowu od 5 po południu do 8 wieczór. Mnie od pracy popołudniowej zwolniono. Na razie było mi ciężko. W przemrożonych palcach nie mogłem utrzymać obsadki, a gdy wypadła z rąk na ziemię, trudno było się zgiąć, aby ją podnieść i zeszywniałe palce jej nie chwytaly. Często któraś z młodych koleżanek mnie wyręczała.

Tak przechodziły tygodnie. Na dworze szalały raz po raz burany, siliłem się jednak, by co dzień przychodzić i zwolna, choć bardzo opornie zaczynały mi wracać siły. Wkrótce otrzymałem prawo do otrzymywania kolacji i 600 g chleba, a nie 400 g, jak dostawałem dotychczas. Stali pracownicy dostawali miesięcznie pobory od 20 do 50 rubli oraz prawo nabywania w kuchni ogólnej tzw. *premluda*<sup>55</sup> – potrawy, stanowiącej premię za trudną lub ponad normę wykonaną pracę. Za potrawę taką po kolacji płacono się od 20 kopiejek do 1 rubla każdorazowo. Były to małe pierożki z białej mąki nadziane marchwią lub kartoflami, placuszki smażone na oleju, kawałek ryby solonej z ogórkiem, kasza kartoflana pokropiona olejem lub inny specjał, który w naszych warunkach był czymś wyszukany i upragnionym. Ja naturalnie nie miałem ani kopiejki, więc nie zapisywałem się na te przysmaki. Pracująca w biurze Pani Helena Strygucka podeszła kiedyś do mnie i szepnęła do ucha: „Pan musi brać stale *premludo*” i wsunęła mi do kieszeni 5 rubli. Bronilem się strasznie przed tym datkiem! Ona powiedziała mi, że jest Polką zamężną z Rosjaninem, że Polką jest też druga buchalterka Maria Monachowa i że one nie dopuszczają do tego, abym ja stary, chory, uwięziony polski senator był głodny; pieniędzy mają dość, bo prócz tego *premluda* nie mają na co miesięcznej pensji wydawać i jak przejem te 5 rubli, to otrzymam następne. Odtąd, dzięki tym zacnym Paniom co drugi dzień spożywałem jakiś smaczny dodatek do kolacji. Opiekowały się one mną ostrożnie i pod sekretem, ale tak jak córki czy siostry. Były osadzone w katordze (bo przymusowe obozy pracy to odnowione dawne, carskie „katorżnicze roboty”) jako żony politycznie podejrzanych, również aresztowanych i gdzieś wywiezionych mężów, z którymi korespondować nie mogły. Miały po 8, 10, 12 lat obozu. Bały się przyznać do polskości lub otwarcie pomagać Polakowi, by nie ściągnąć cięższych kar. Wielu bardzo spotyka się tu Polaków, częściowo już lub zupełnie zrusyfikowanych. Są to potomkowie zesłańców z 1831 roku, z 1863 roku oraz emigranci z czasów I wojny światowej 1914–1918 roku. Na Sybirze, w Azji Środkowej, w Persji spotyka się ich stale. Iluż to ludzi, nieraz cennych, wartościowych biedna nasza Polska straciła! A ilu

<sup>55</sup> *Premludo* (ros. *премблюда* – *премиальное блюдо*) dodatkowe danie.

teraz ginie! Europa, Azja, Afryka, częściowo Ameryka – wszędzie setki, tysiące mogił Polaków; a ilu żywych, ale nie mających sił na powrotną drogę przez dziesiątki tysięcy kilometrów, długo pozostanie rozsianych po świecie. Przepadają żywe siły narodu – ale on się odrodzi, bo ma wielką moc w sobie, wielkie tradycje i wielką misję dziejową.

Po pewnym czasie przeniesiono mnie do baraku technicznego. Było tam sucho, ciepło, czysto. Miałem osobny tapczan. Towarzystwo: elita, inteligencja sowiecka – na ogół niesympatyczna. Katorżnicy tak jak wszyscy, pracowali lub kierowali wykonaniem robót. Jako przełożeni byli często gorsi niż przysłani na niektóre stanowiska ludzie wolni, tzw. „wolnonajemni”. Najgorsi pod każdym względem byli Czuwasze. Zdemoralizowani, bezbożni, bluźniercy, złodzieje i łapownicy, chciwi i źli dla innych. Do baraku przychodziła codziennie rano do zmiatania i utrzymania porządku tzw. *dniewalnaja*<sup>56</sup> – inteligentna Rosjanka ze wschodniej Syberii. Siedziała ona w obozie za to, że mąż jej, inżynier kolejowy, został aresztowany jako niepewny politycznie. Pewnego razu, gdy jeden z mieszkańców baraku drwił z Boga i bluźnił, powiedziałem jej, że jestem wierzący, modłę się codziennie i brzydzę się tymi okropnymi bluźnierstwami. Nazajutrz rano, gdy jeszcze leżałem na tapczanie *dniewalnaja* zjawiała się w baraku i stojąc obok mnie szeptem odmówiła po polsku „Ojcze Nasz” i „Kiedy ranne wstają zorze”. Byłem zdumiony! Okazało się, że jako córka kupca z Władywostoku wyszła po raz pierwszy za mąż za Polaka Tomasza Strawińskiego, który nauczył ją polskiego pacierza i którego bardzo kochała. Strawiński był wnukiem polskiego zesłańca, ojciec jego dorobił się majątku we wschodniej Syberii. Umarł młodo. Po kilku latach ona wyszła za mąż za inżyniera Rosjanina – ale zawsze kocha całą duszą swego pierwszego męża i na jego pamiątkę modli się po polsku. Odtąd byliśmy ze Strawińską w wielkiej przyjaźni.

W tymże baraku miałem inną, ciekawą rozmowę. U jednego z kierowników – agronomów zobaczyłem doskonale napisany podręcznik pt. *Chemia rolnicza*. Poprosiłem, by mi dał do przeczytania. Chciałem porobić sobie notatki, a przy tym zapytałem go o niektóre szczegóły z rolnictwa sowieckiego. Mój rozmówca – Stiepkow – zaczął też mnie

<sup>56</sup> *Dniewalnaja* (ros. *дневальная*) – dyżurna dzienna.

wypytywać o życie gospodarcze i polityczne Polski. Spytałem czemu go to tak interesuje. Obejrząwszy się, czy nikogo blisko nie ma, powiedział mi, że pochodzi z okolic Mińska, że ojciec jego był Polakiem, nazywał się Stępkowski, że on zapewne za to jest aresztowany, bo dowiedziano się o jego polskim pochodzeniu. Sowiety mają dobre i tanie książki praktyczne z dziedziny naukowo-gospodarczej dla czytelników ze średnim wykształceniem. W różnych czasach porobiłem sobie wyciągi z kilku takich książek, jak np. chemia rolnicza, uprawa szczegółowa warzyw, chów drobiu, sztuczne zapładnianie zwierząt, uprawa żyta itp. Nowością dla mnie było zagadnienie sztucznego zapładniania, szeroko stosowanego w Azji Środkowej.

W baraku technicznym odżywiałem się znacznie obficie. Moi współtowarzysze — arystokracja katorżnicza — korzystali z dodatkowego żywienia przepisanego przez lekarzy, choć byli zdrowi. Wobec tego normalnych potraw codziennie nie jedli, a oddawali je głodnym, do których i ja się zaliczałem. Poprawiałem się też zwolna. Rankiem przed wyjściem do biura przez 10 minut starałem się gimnastykować. Siły wracały. Nadchodziła wiosna. W lutym skończyły się burany, w marcu słońce przypiekło, śnieg spłynął, zaczęły się roboty w polu. Step bezkresny dookoła zaczął zielenieć.

W biurze pracowałem po dawnemu do 3 godziny popołudniu, a wieczory miałem wolne. Wychodziłem wówczas na step. Tam, o kilkaset metrów od najdalej wysuniętego baraku leżał duży kamień. Wiele godzin na nim spędziłem. Tam myślałem o domu i moich ukochanych, myślałem o Polsce, o Czernichowie. Tam zrobiłem rachunek sumienia z całego mojego życia. Ów step z paru pagórkami daleko na widnokręgu dziwny wywoływał u mnie nastrój. Wiał z niego jakiś spokój, szła rezygnacja, poddanie się Woli Bożej. Zdawało się, że widzę idącego ścieżyną poprzez tę wielką zieloną płaszczyznę, któregoś z biblijnych proroków... Tęskniłem do kościoła, nabożeństwa mszalnego, spowiedzi. Dowiedziałem się, że jeden ze stróżów nocnych, aresztant z baraku nr 16, jest księdzem grecko-katolickim z Ukrainy. Rozmówiłem się z nim w cztery oczy. Zgodził się wieczorkiem w ukryciu mnie wyspowiadać. Językiem polskim władał słabo, powiedział, że nauki będzie mi dawać po rosyjsku. Po wahaniu wstrzymałem się jednak od spowiedzi u niego, bojąc się, aby obca mowa nie obniżyła nastroju, w jakim pragnąłem przystąpić do tego

sakramentu. Miałem też nadzieję, że dane mi będzie przed śmiercią spotkać księdza Polaka i u niego się wyspowiadać.

Z początkiem kwietnia step pokrył się kwiatami. Zakwitły nieduże, białe narcyzy, fioletowoczerwone drobne tulipany, małe żółte i białe lilijki i inne kwiatuszki. Jak się przekonałem obserwując wiosenne i letnie rośliny stepowe, wiele naszych ogrodowych kwiatów i warzyw ma tu swoją ojczyznę i żyje w dzikim stanie. W stepie spotykałem dziką cebulę, czosnek, szparagi. Na suchych miejscach jako chwast polny rośnie w dużych ilościach „mgła”, o drobnych białych kwiatuskach na cienkich gałązeczkiach o kształcie kuli. Krzaki takie mieliśmy w Czernichowie na gazonie, a matka moja lubiła je jako dodatek do bukietów. Jest to jedna z licznych tu roślin zwana po rosyjsku *pieriekatipole*, gdyż w jesieni kulista roślina odrywa się od ziemi, a wichry tocząc ją dziesiątki kilometrów, nawet po polach, rozsiewają jej drobne nasionka. W stepie nazbierałem w lecie woreczek nasion najładniejszych kwiatów: fioletowych astrów, ślicznych niebieskich i czerwonych ostów, jakichś niebieskich i żółtych kwiatów o mlecznych łodygach, głógów białych i różowych, silnie pachnących różyczek o żółtozłotawym kwieciu ze środkiem ciemnoczerwonym i wiele innych. Ukradli mi je potem razem z walizką przy wjeździe do Persji.

Wielką radością — całkiem niespodziewaną — był dla mnie list od Dziuni Rdułtowskiej oraz 15 rubli, które mi przysłała z sowchozu Budionnego nr 307, w rejonie presnowskim północnego Kazachstanu. Dowiedziałem się, że Bronia, Ina z synkiem, Dziunia z dwoma synami i Renia Ślizieniowa z dwojgiem dzieci nie uszły ogólnego losu i są też biedaczki zesłane gdzieś do Azji Środkowej<sup>57</sup>. Najważniejszą jednak

<sup>57</sup> Do Kazachstanu ludność polska trafiła w wyniku trzech fal deportacyjnych: w lutym i kwietniu 1940 r. oraz w maju — czerwcu 1941 r. Najliczniejszą grupę stanowili zesłańcy z kwietnia 1940 r. Deportowane zostały wówczas rodziny: zbiegłych poza granice ZSRR (w tym pod okupację niemiecką), pozostających w niewoli niemieckiej lub radzieckiej, internowanych na Litwie lub Łotwie, aresztowanych przez władze radzieckie, oficerów i podoficerów wojska i policji, urzędników państwowych i samorządowych, działaczy społecznych, gospodarczych i politycznych, nauczycieli wszystkich typów szkół i uczelni, kupców i przemysłowców, a także pewna ilość rodzin chłopskich. Deportowanych rozsiedlono w obwodach: aktiubińskim, akmolińskim, kustanajskim, pawłodarskim, północnokazachstańskim (pietropawłowskim) i semipałatyńskim.

i najdroższą była mi wiadomość, że moja Zosieńka i Terenia z inżynierowstwem R. przedostała się w 1939 roku do Warszawy i że Zygmunt też żyje i też jest w Warszawie. Ze smutnych znów wiadomości, że Otton Christoff, brat Zosi, zginął na wojnie, a Gienusia i Chryzika Rdułtowskich Niemcy aresztowali. Myślę, że poczciwa, zacna Dziunia dostała mój adres przez Baranowicze, gdyż, kiedy pozwolono mi z obozu napisać słów kilka do rodziny, wysłałem jedną pocztówkę do starego Kurchina, a drugą do Altera Trybuchowskiego do Baranowicz, prosząc o adres mojej rodziny i swój podając.

W biurze buchalteryjnym pracowałem do końca maja. W tym czasie odszedł kierownik Popow, zastąpił go mniej sympatyczny jego pomocnik, Czuwasz z pochodzenia. Z nim miałem raz małe słowne starcie. Kiedyś w biurze patrząc na mnie powiedział: „Rdułtowski, przegraliście Polskę. Nigdy już ona nie powstanie” — i uśmiechnął się jadowniczo. „Zobaczymy” — odrzekłem „wierzę, że ja i pan na własne oczy będziemy ją widzieli wolną i silną”. Skrzywił się i zaśmiał. Gdy jednak w końcu sierpnia tegoż roku opuszczałem obóz, tenże sam uściskał mi rękę, pogratulował i powiedział „Miałeś kiedyś rację dieduszka. Wy wróćcie do wolnej Polski, a my tu siedzieć będziemy za drutami”.

W końcu maja nagle odwołano mnie z biura i kazano jechać nauczastek „Polewoj”, na roboty polne. Byłem tam tylko miesiąc. Jest to uczastek z małą siedzibą, złożoną z 2 baraków: dla mężczyzn i dla kobiet, budynek kuchennego, małej ziemianki dla strażników oraz składziku na produkty. Opodal rezerwowo na naftę, ropę i benzynę dla traktorów oraz ruiny dawnej kuźni. Część baraku kobiecego jest oddzielona na biuro, ambulatorium i pokoiki dla felczerki i kierowniczkę uczastka. „Polewoj” leży tuż przy paśmie wzgórz piaszczystych, po którego obu stronach step się szeroko rozpostarł. Większa część gruntów jest tu wyorana i zamieniona na pola które letnie burany nieraz zanoszą piaskiem. Uprawiają tu pszenicę ostkę, przeważnie jarą, jęczmień, owies, proso i lucernę. Urodzaje słabe — słoma zbóż niska i cienka. Duże spustoszenie w polu robią chwasty. Toteż wszystkie zboża trzeba plewić po 2 lub 3 razy. Na tę właśnie robotę byliśmy tu przysłani z Espe. Prócz mnie znalazł się Tejchner, którego zrobiono stróżem, Kolago, urzędnik z Wydziału Drogowego w Baranowiczach, jakiś

staruszek „starowier”<sup>58</sup>, śpiewający codziennie psalmy, którego nazwano „Dawid Piotrowicz”, jeden złodziejaszek — bandyta bez ręki — udający malarza, który za rysowane dla strażników bohomy wykręcał się od wszelkiej pracy, i kilku innych mężczyzn. Kobiet było znacznie więcej, a wśród nich 2 sympatyczne Polki, Anna Furdynowa i Zofia Samojlewiczowa z Małopolski Wschodniej<sup>59</sup>. Ta ostatnia, bardzo rozumna i zrównoważona. Obie często chorowały i zostawały w domu, gdy szliśmy na pole. Były 2 grupy robocze, na czele każdej stała kierowniczka brygady. Obie były śpiewaczkami w jakichś podrzędnych teatrzykach moskiewskich, zesłanymi nie wiem za jakie winy na dłuższy pobyt w obozie. O rolnictwie nie miały pojęcia, nie znały chwastów i nie odróżniały ziaren pszenicy, owsa czy jęczmienia. A chwastów było dużo! Najgorszy był tzw. „słodki korzeń”, o długich żółto kwitnących rozłogach i mocnych, trudnych do wyrwania, a słodkich korzeniach. Potem nasz „srebrnik”, „mgła” i różne mlecze, ziola i osty. Wobec silnych upałów wstawaliśmy o 3 w nocy, tzn. gdy w Polsce zegary wydzwaniały północ. Było zimno. Szedłem w ubraniu i kurtce skórzanej. Na pole szło się około 3 kilometrów i więcej. Śliczny był wschód słońca. Ze stepu podnosiły się stada żurawi, stada specjalnego rodzaju małych i zwinnych kuropatw wiecznie latających, które przelatywały z gwizdem i krzykiem. Po godzinie słońce tak już piekło, że stopniowo aż do koszuli trzeba się było rozbierać. O godzinie 12 wracaliśmy na obiad, potem był trzygodzinny wypoczynek w czasie największego upału.

Pracowaliśmy przy plewieniu zboża. Na razie bardzo mi było ciężko się schylać, musiałem pełzać po ziemi i rwać ziele. Po kilku jednak dniach słońce, świeże powietrze i lepsze odżywianie wróciło mi siły. Po tygodniu, choć z laską, chodziłem już dobrze i zginałem się nie najgorzej. Ponieważ

<sup>58</sup> Starowiercy (staroobrzędowcy) — ruch religijno-społeczny powstały w XVII w. w Rosji jako forma opozycji wobec reformy oficjalnego kościoła prawosławnego; broniąc starych zwyczajów obrzędowych, nabrał równocześnie antyfeudalnego oblicza społecznego, w związku z czym był prześladowany nie tylko przez władze kościelne, ale i państwowe; surowo zwalczany w ZSRR.

<sup>59</sup> Małopolska Wschodnia (Galicja Wschodnia) — ziemie leżące mniej więcej między Sanem a Zbruczem.

byłem zaliczany do inwalidów w 85% niezdolnych do pracy, po obiedzie nie wychodziłem w pole. Mimo zakazu straży, starałem się wówczas wymknąć na zbocza wzgórz lub w step. Tam znów się modliłem w samotności, myślałem o swoich, przypominałem sobie lata dzieciństwa, patrzyłem na piękne niebo i kwitnący step. A kwiatów była moc, pięknych, kolorowych, u nas nie znanych. Miejscami step falował białymi kitami kawyłu — trawy stepowej — miejscami niebieskie lub żółte łaty jakiegoś wilczomlecza, krzaczki głogu o kwiatach różnych odcieni, z zapachem najwyszukańszych róż. A wszystkie rośliny stepowe pachną silnie, ostro. Po zapachu rozpoznałem, że jest tu czomber, taki sam jak u nas na gazonie, taki sam, jak Tereńka suszyła do picia zamiast herbaty, jeżeli jej z powodu wojny zabraknie. Nazbierałem go cały worek, a na słońcu tutejszym po godzinie jest już zupełnie suchy. Miałem go do picia przeszło pół roku. Nazbierałem też mały woreczek przeróżnych nasion z ciekawszych roślin. Nie wiem skąd brała się wiara, że posieję je w Czernichowie, że kiedyś będę Wam Najdrożsi pokazywał tych żywych towarzyszy, którzy razem ze mną wrócą z dalekiej wędrówki. Dopelnilem ten zbiór później u stóp Tien-Szan w Azji Środkowej, na południe koło Taszkientu — po to, by wreszcie skradziono mi go razem z walizką nad brzegiem Morza Kaspijskiego.

Praca nasza w polu to były kpiny. Była ona ilustracją bankructwa całego tutejszego systemu. Uczciwie pracowało nas kilka osób, w tym wszyscy Polacy. Inni udawali, że coś robią i po pewnym czasie rozkładali się i spali w polu. Brygadzistka nie wiedziała, co z nimi robić, bała się o swą skórę. Odmierzała robotę na akord, wówczas większe chwasty wrywano powierzchownie, byle zbyć — inne opuszczano. Bandyta bez ręki dobrał sobie jeszcze kilku łobuzów i rej wodził, demoralizując i tak już zdemoralizowaną dostatecznie młodzież rosyjską. W tym czasie przyszła z dawna wyczekiwana wiadomość, która tlejącą w duszach nadzieję od razu zmieniła w głęboką wiarę, w pewność dobrego końca.

Któregoś wieczoru wypoczywając na stepie, zobaczyłem wracającego z roboty Kolagę. Szedł jakoś bardziej rzeźko niż zawsze. Wyszedłem na spotkanie. Już z daleka zawołał: „Stało się!” „Co, wojna?” — spytałem. — „Tak. Niemcy napadli

na Rosję<sup>60</sup>. Biją się, idą szybko naprzód”. Padliśmy sobie w objęcia. A więc stało się! Strażnicy byli rozkojarzeni — szeptali za węglami. Straż wzmocniono, na drogach wprowadzono kontrolę każdego przejeżdżającego samochodu. Jeszcze uważniej niż dotąd obserwowano ruchy i rozmowy aresztantów. Ale duch był inny. Wszyscy czekali nerwowo wiadomości ze świata. A wiadomości te były skąpe i rzadkie, za to plotki przesadne i częste. Wkrótce zawiadomiono mnie, że mam wracać do Espe. Pojechałem wozem zaprzężonym w parę wołów, żegnając Polewoj na zawsze.

W Espe ulokowano mnie teraz w innym baraku. Razem ze mną lokowało się kilku naszych Żydów: Kotlar, o którym już wspominałem, Kuperberg — ślusarz, właściciel sklepu żelaznego w Białymstoku, właściciel wielkiej firmy drzewnej „Rab-Mil” oraz Hotelu Ritz w Białymstoku — Józef Milikowski — człowiek bogaty, kulturalny, sympatyczny. Prócz nich był też w baraku duchowny muzułmański, starszy, poważny i bardzo pobożny człowiek; modlił się w różnych porach dnia i nocy, siedząc w „kucki” na trawie przed barakiem lub na swojej pryczy. Stopy miał tak malutkie, jak u dziecka. Było też i kilku zbirów rosyjskich: Babiczew — starszy zbój z północnego Kazachstanu, młody parobczak Misza i inni. Babiczew twierdził stale i głośno, że: „Wszystkich polskich burżujów trzeba wyrznać”.

W dzień prawie wszyscy szli do roboty. Milikowski podwoził taczka opał, tzw. „kiziak”, tj. suszony i ubijany w cegielki obornik<sup>61</sup>, Kuperberg robił z gliny „samany”,

<sup>60</sup> 22 czerwca 1941 r. III Rzesza zaatakowała Związek Radziecki, rzucając do walki 190 dywizji (w tym 17 pancernych) liczących łącznie 4,6 mln żołnierzy, 3,7 tys. czołgów, ok. 5 tys. samolotów. W ciągu pierwszych trzech tygodni wojny wojska niemieckie posunęły się 300-400 km w głąb państwa radzieckiego, zajmując Litwę, Łotwę, Białoruś, prawobrzeżną Ukrainę i prawie całą Mołdawię.

<sup>61</sup> Kiziak był w Kazachstanie najcenniejszym i podstawowym materiałem opałowym. Istniały dwa sposoby jego pozyskiwania. Pierwszy to po prostu zbieranie na stepie wysuszonych już przez słońce odchodów zwierzęcych. Drugi polegał na produkowaniu go z nawozu pochodzącego ze stajni i chlewni. Nawóz ten mieszano ze słomą i wodą poprzez udeptywanie w płytkim dole. Z powstałej w ten sposób jednolitej masy formowano bloczki o wymiarach ok. 40 × 20 × 15 cm i suszono je na słońcu. Był to dobry opał, o wartości energetycznej zbliżonej do torfu.

czyli duże niepalone cegły. Kotlar grzał wodę do „czaju” w wielkim blaszanym samowarze, ustawionym na placu. Mnie na razie roboty nie dano. W biurze, zastąpił mnie podczas mojej nieobecności stary inwalida – zawodowy buchalter, Rosjanin, który mieszkał w tymże baraku technicznym, gdzie i ja poprzednio przed wyjazdem do Polewoj i gdzie dozorowała *dnielnaja* Strawińska. Ona też opowiedziała mi w sekrecie, że miała zły sen. Śniło się jej, że w nocy do baraku ktoś stuknął w okno – podchodzi i widzi kościotrupa. „Przyszedłem po Pawła Piotrowicza – obudź go”. Za chwilę odszedł, mówiąc: „Przyjdę drugi raz, niech jeszcze pożyje”. Paweł Piotrowicz, był to ten właśnie stary buchalter. Nazajutrz zachorował na gripę. Zabrano go do szpitala. Strawińska mówiła, że wkrótce umrze, ale wrócił podleczony i znów chodził do biura. Strawińskiej przyśniła się znów śmierć, stukająca do drzwi baraku – o czym mi powiedziała. Po tygodniu zdrowie buchaltera się pogorszyło i zmarł.

Po jakimś czasie zaczęto mnie wysyłać do robót polowych. Dopóki było plewienie dawałem sobie jakoś radę, jednak z karczowaniem zarośli szło już gorzej – nie miałem siły. Na skutek interwencji bardzo sympatycznej lekarki z miejscowego ambulatorium, Tamary Aleksandrowny – Rosjanki, która też w sekrecie przyznała się do polskiego pochodzenia – zwolniono mnie z tej pracy, aznaczono do dozoru karceru. Był to barak otoczony drutami i trzymany pod silną strażą. Od chwili wybuchu wojny z Niemcami liczba ludzi wpakowanych do karceru wzrosła ogromnie. Otrzymywali oni zmniejszone porcje żywności i byli pod strażą pędzeni co dzień do roboty. Było tam paru mnichów i mniszek prawosławnych, kilku bandytów i dużo innych, karanych za niewłaściwe odezwanie się, nieposłuszeństwo itp. Miałem obowiązek nosić wiadrami zupę na obiad, wodę, chleb, czyścić i zapalać lampy. Noszenie jednak kilka razy dziennie dwóch ciężkich wiader było znów ponad moje siły. Na stopie utworzył się wielki wrzód, który trzeba było przecinać. I znów Tamara Aleksandrowna zwolniła mnie od tej pracy. Wyprosiłem też u niej buteleczkę tranu, chociaż nie cierpiałem kiedyś tego lekarstwa – teraz organizm pozbawiony przez kilka lat tłuszczu tak go pragnął, że z trudem się opanowywałem, by nie wypić go od razu za wiele. Przez kilka tygodni spożywałem go przed obiadem jak najlepszy przysmak. Dodawał sił

i doskonale wpływał na żołądek. Ale więcej go już ani w obozowych, ani później w miejskich aptekach nie było.

Nie mając pracy, urządziłem sobie wędrówki po stepie. Częściej też spotykałem Polaków. Był tu ze Lwowa były kolejarz, niejaki Żychliński, z siwą brodą, udający wielkiego działacza i opiekuna innych Polaków, pracował jako ogrodnik. Pomocnikiem jego był płk. Zygmunt Rudnicki – widocznie „endek”<sup>62</sup>, niezbyt mądry, bo wyrażał się o legionach z 1914 roku jako „banda Piłsudskiego” – był osadnik (nazwiska nie pamiętam), był Milikowski, był szewc „Pan Jan”, młoda i miła warszawianka z ul. Mokotowskiej, p. Zosia Gołębiowska, była krewna senatora Potworowskiego, p. Jabłońska z poznańskiego, i p. Samojłowiczowa.

Wojna sowiecko-niemiecka i kursujące w związku z tym wieści dawały dużo tematów do szeptów i rozmów poufnych. A dobrzy ludzie pomagali mi jak mogli. Milikowski przynosił cebulę, p. Jabłońska oddawała swoją rybę z obiadu, której nie lubiła, a którą teraz dosyć często (i to dobrą) nam podawano. Kultynowa i Zosia przynosiły co dzień chleb ze szpitala, a zacna Zosia uszyła mi pantofle z kawałków jakiegoś koca. Gdy wrzód na stopie zaczął się goić dostałem dobre i miłe zajęcie dzwonnika. Wydzwaniałem na zawieszanej szynie, tzw. „rejce”, sygnały o oznaczonych godzinach. Dzwoniłem 7 razy na dobę: o 6 rano – wstawanie, o 7.30 – zbiórka na placu, o 12 – obiad, o 14 – do pracy popołudniowej, o 20 – na zakończenie roboty, o 20.15 na wieczorną kontrolę obecności na placu, gdzie ustawialiśmy się w dwuszereg, wreszcie o 23 dawałem ostatni sygnał – do snu. Po tym sygnale nie wolno było wychodzić z baraków, a dyżurni baraku obowiązani byli meldować, czy ktoś jest nieobecny i dlaczego. Były bowiem przypadki wysyłania niektórych osób daleko z transportem albo na nocne roboty (traktory pracowały całą dobę). Stróże byli stawiani przy składach, aby nie dostali się tam złodzieje, i przy owcach, do których nie tylko złodzieje, ale jeszcze częściej dobierały się wilki. Owce miały na obu pośladkach wielkie kuliste narośla tłuszczowe, zabawnie drgające. Ten gatunek owiec dużego wzrostu, o dużej ilości mięsa i tłuszczu, jest rozpowszechniony w całej Azji Środkowej, w Kazachstanie, Uzbekistanie, Persji, Iraku i innych krajach. Otóż wilki smaku-

<sup>62</sup> Endek – członek narodowej demokracji.

ją bardzo w tłuszczu baranim, napadają na owce i nie duszą jej, a tylko wrywają jej kurdziuk. Naturalnie biedną owcę trzeba dorzynać. Latem stada owiec nocowały na dworze w pobliżu siedziby. Kilka razy w tygodniu wrzaski i ujadanie psów świadczyło, że wilki biorą się do swej ulubionej operacji.

W końcu lipca spadł parokrotnie ciepły deszcz, co jest wielką rzadkością w tutejszym suchym, typowo kontynentalnym klimacie. W kilka dni po deszczu na stepie ukazało się moc pieczarek. Są to jedyne grzyby, które tu rosną. Mając czas wolny od 8 rano do południa, chodziłem z woreczkiem po grzyby i przynosiłem ich mnóstwo. Obierałem je, kroilem i po oplukaniu wstawiałem zalane wodą i posolone do gorącego popiołu, wyrzucanego z pieców piekarni. Przez te kilka dni miałem pełny kociołek doskonałych pachnących grzybów. Jadłem je same albo używałem do zaprawy zupy lub kaszy, których smak znakomicie przez to się poprawiał.

Idąc w step, po grzyby, przechodziłem koło szpitala. Tam przez okno pani Kultynowa lub Zosia dawały mi chleb, a szeptem podawaliśmy sobie wiadomości o wojnie Niemców z Sowietami, o sprawach Polski itp. Wracając, szedłem koło piekarni, gdzie palaczami było dwóch Polaków. Znow wypożyczek na ławce i szeptane rozmowy. Tam znow Milikowski wiezie taczkę „kiziaku”, a dalej Szychliński z Rudnickim ciągną beczkę wody do podlania zasadzonej zeszłej jesieni topoli. Każdy ma coś do powiedzenia i do zapytania. Zaczynają mówić, że Polaków mają zwolnić. Odżywamy z dnia na dzień, nadzieje rosną. Moskale nie chcą wierzyć – ale zółkną z zazdrości. „Jak to, was zwolnią z obozów na swobodę, a my będziemy gnąć w tej nędzy?” Najbiedniejsze Polki – obywatelki rosyjskie, te życzą nam szczęścia ze łzami w oczach i smutno o swym przyszłym rozmyślają losie.

Ja tymczasem dzwonię mocno i punktualnie. W całym oddziale obozu jest tylko jeden budzik i jeden zegarek z girami (z ciężarkami), ścienny – oba w domu zarządu głównego, oddalonego o jaki kilometr. Orientując się z grubszą po słońcu w dzień i po gwiazdach w nocy, chodzę każdorazowo, aż do tego budynku sprawdzać dokładnie godzinę. Mam obliczone, że od tego miejsca do mojej „szyny”, służącej za dzwon, idę 7 minut.

Siedziba zarządu w porównaniu do innych baraków, niziutkich, glinobitnych i o płaskich dachach glinianych, może

się gmachem nazywać. Wybudowano go przy mnie w ciągu kilku miesięcy, rękami kobiet. Długi wysoki budynek ze samanów, z dużymi oknami i lekko spadzistym dachem oraz gankiem na słupach. Wewnątrz system korytarzowy – kilkanaście pokoi. Drugi taki budynek zaczęto przy mnie budować na szpital. A wszystko robiono rękami kobiet – dosłownie rękami – bo ani kielni, ani tarki do tynku, nie używano. Podrzucano glinę między samany i mazano, czyli wygładzano ściany tą gliną, wprost ręką zamaczaną co pewien czas w wodzie. Kobiety pilnowały, aby ściana układała się prosto, równo, by się nie odchylała od pionu. One ubijały podłogę glinianą, układały dach – słowem robiły wszystko. Nawet szkice planów rysowały studentki szkół technicznych, zesłane do obozów katorgi. W ogóle pracowała najlepiej inteligencja. Właściwie nazwać by należało ją „półinteligcją”, w porównaniu do naszego nawet poziomu; między nią jednak, a dziczą, siedzącą razem z nami w obozach, rozpiętość poziomu inteligencji jest bardzo wielka.

Wreszcie w końcu sierpnia gruchnęła wiadomość, że mają nas w najbliższym czasie zwolnić z obozów<sup>63</sup>. Po paru dniach kazano mi zdać funkcję dzwonnika. Odczytano listę osób, które nazajutrz miały się przygotować do drogi i oddać łyżki, kociołki, a resztą rzeczy zapakować. Na liście tej i ja figurowałem. Część Polaków zostawała – i to spora. Pocięszano ich, że za kilka dni i na nich przyjdzie kolej. Nas żegnano czule, lecz z zazdrością i smutkiem. Kończyła się nasza praca w zamkniętym obozie, pod strażą. Praca w warunkach odpowiadających dawnej katordze, gdzie się czuło ciągle upośledzonym, pozbawionym praw i wolności, poniewieranym, półgłodnym i półnagim. Gdzie tyle ciężkich chwil przeżyłem. Na ogół biorąc praca jako taka w obozie więziennym mało jest warta. Ileż sił ludzkich się marnuje, ile wala się na drogach i ścieżkach stepowych kawałków żelaza, części maszyn połamanych, ile porozlewanej nafty i smarów na drogach, jak fatalnie przed wiosną wychudzone są konie i woły robocze. A ile goryczy i niechęci! Ile demoralizacji szerzy się wśród mniej wyrobionych i „zakluczonych”<sup>64</sup>. Uczą się ludzie

<sup>63</sup> Wykonując odpowiednie postanowienie umowy polsko-radzieckiej z 30 lipca 1941 r. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR wydało 12 sierpnia 1941 r. dekret o amnestii dla obywateli polskich więzionych na terytorium Związku Radzieckiego.

<sup>64</sup> Zakluczony (ros. заключенный) – więzień.

okradać innych, oszukiwać władze — uczyć się lenistwa. Rodziny rozbite, rozłączone. Mężczyźni żyją z obcymi kobietami, jak się da, jak humor i okoliczności pozwalają.

Rzecz ciekawa, że w większych maszynach, które tu widziałem jak np. kombajny, najgłówniejsze części były robione z polskiego żelaza, co poznaliśmy po odcisniętej nazwie firmy, „Huta Królewska” na naszym Śląsku. Trafiły też do dzikich stepów północnego Kazachstanu nasze auta „Fiat Polski”, na popielato malowane, zrabowane w Polsce, którymi tutejsze „władze” jeździły. Jakież myśli i jakie komentarze wywoływało wśród nas pojawienie się takiego polskiego auta!

No, ale ta karta dziejów naszych się kończyła. Zebrano nas z rzeczami pod biurem Zarządu, poddano rewizji, posadzono na wozy zaprzężone w woły i żegnani przez władze i pozostających w obozie aresztantów ruszyliśmy przez step szeroki, drogą wyjeżdżoną, wśród pól uprawnych i rozległych stepów. Przestrzenie zarosłe są olbrzymią trawą i wspaniałymi gąszczami chwastów — zmieniają się one z gołymi łysinami białych od soli „sołoncek”.

Nocowaliśmy w Dolince. Nazajutrz stanęliśmy w Karabasi, gdzie umieszczono nas w baraku dla zwolnionych. Po paru dniach, skierowano nas do łaźni, poddano znów rewizji, zaopatrzone w chleb, rybę i jeszcze jakiś prowiant oraz dano na drogę trochę pieniędzy. Mnie zwrócono zatrzymane w mińskim więzieniu ok. 200 rubli, natomiast wszystkie rzeczy zabrane w więzieniach w Baranowiczach i Mińsku, przepadły. Wreszcie pytano nas, dokąd kto chce jechać, wskazując przy tym, że nie wolno obierać siedziby w dużych miastach i że należy kierować się do południowego Kazachstanu. Pierwsza partia Polaków wyjechała przed paru dniami do Taszkentu — nam radzono wybrać inną miejscowość.

Dokąd jechać? Co ze sobą potem zrobić? Nikt nie wiedział. Podczas narady, jadący z nami Kolago powiedział, że jego ojciec służył kiedyś w armii carskiej w mieście Wiernyj, które dziś nazywa się Alma-Ata. Jest tam ładny klimat, ziemia urodzajna — zapewne znajdzie się praca. W samej Alma-Acie, jako stolicy Kazachstanu nam mieszkać nie pozwolą; najbliższy rejon od miasta i kolei jest ilimski. Postanowiłem jechać do tego rejonu. Prawie cała nasza grupa ten wybór przyjęła, choć niektórzy później złożyli gdzie indziej. Okazało się, że tego dnia co my ma jechać też Pani Raciborska,

zona inżyniera, który był więziony ze mną w Baranowiczach i Mińsku, a matka dwóch panien, któreśmy kiedyś z Zosią poznali w Odachowszczyźnie. Ta mnie odnalazła i zapowiedziała, że jedzie tam gdzie ja, chce być ze mną i oddaje się pod moją opiekę. Niezbyt mnie to ucieszyło, bo robiła wrażenie histeryczki, ale nie ma rady. Sąsiadka spod Baranowicz, a zresztą w kupie zawsze raźniej na obczyźnie. Kolago też razem jedzie, również Milikowski, Kotlar, Kuperberg, kilka młodych kobiet wieśniaczek. Wypisano nam bilety kolejowe i zaświadczenie na wyjazd do obłasti<sup>65</sup> Alma-Ata, rejon iliński, i wsadzono do wagonów. Dnia 30 sierpnia 1941 roku opuściłem Karagandyjski Obóz Poprawczy<sup>66</sup>. Na pożegnanie przytaczam wiersz pewnej pani, który przepisałem sobie, zresztą za jej wiedzą:

### Noc zimowa na stepie

Codziennie wieczór, gdy cicho, ciemno,  
Wychodzę na dwór. Niebo nademną,  
A wokół smutny, uśpiony step.

Czasami w blaskach pełni księżyca,  
Śnieg srebrzystością oko zachwyca,  
A gwiazdki w górze mrugają, hen.

Chwilami księżyc ginie za chmurą,  
Wszystko się staje straszne, ponure  
I wiatr się zrywa, huczy i dmie.

Nocą bezgwiezdną, nocą złowrogą  
I bezgranicznie mroźną i srogą  
Wychodzę na dwór, choć wstrząsa dreszcz.

Gdy buran huczy, zamieć szaleje —  
Ręka, co niesie wiadro — sinieje,  
Lecz trzeba na dwór jak co dzień iść...

A myśl potraça o duchy, wilki,  
Obecną dolę lub szczęścia chwilki  
O Wolnej Polsce — czarownym śnie...

<sup>65</sup> Obłast' (ros. область) — obwód; jednostka administracyjna w ZSRR, odpowiadająca polskiemu województwu, choć m.in. w Kazachstanie obejmująca nieporównanie większy obszar.

<sup>66</sup> Poprawna nazwa: Karagandyjskie Poprawcze Obozy Pracy (ros. Карагандинские исправительно-трудовые лагеря), w skrócie — Karlag.

## 7. Nowosybirsk — Alma-Ata — Tałgar

Pociąg ruszył wieczorem z Karabasu przez Karagandę w kierunku Nowosybirska. To tam ze stepów pędzono każdego lata wielotysięczne stada owiec, pod ochroną aresztantów z obozu, do rzeźni centralnej. Co kilka miesięcy szła taka ekspedycja z owcami.

My jechaliśmy prędko. Dziwne uczucia i myśli ogarniały człowieka. Więc niby jestem wolny. Strażnik z karabinem już mnie nie pilnuje, ale wiem, że wolności naprawdę w tym kraju nie ma. Wiem, że mnie szpiegują. Jadę w nieznane. W obozie miałem codziennie chleb i krupnik — a co będę jadł teraz? Czy i jak zapracuję sobie na byle jakie utrzymanie? Jak długo wypadnie tak się błąkać w obcym kraju? Mówią, że wojsko nasze tworzy się w Sowietach — może choć na urzędnika wojskowego mnie przyjmą! Ale 62 lata i osłabienie, wycieńczenie ogólne, to będzie duża przeszkoda.

Tu znów na stacjach baby sprzedają mleko, jaja, chleb, pierożki, kawony. Pieniądzy jest niedużo, ale po dwuletnim wygłodzeniu wszystko pociąga, wszystko jest pożądane. Kupuję mleko. Chleb mam ze sobą. Jem po trochę, co kilka godzin. Na większych stacjach są bufety — można dostać dobrą zupę i kaszę, nawet mięso! Je się przy stołach, jak dawniej. Wszystko to nowe: od roku 1939 niespotykane w życiu. Nie kociołki, a talerze, nie łyżki drewniane, a noże i widelce. Służba podaje potrawy. Aż dziwnie! Jedziemy przez kraj biedny, mało zaludniony. Dopiero po paru dniach zatrzymujemy się w większym mieście. Trzeba wysiadać i czekać na inny pociąg. Jest to Nowosybirsk. Dworzec nowy, olbrzymi, bardzo piękny, piętrowy. Kioski z książkami, gazetami, produktami spożywczymi, galanterią. Wielki bufet kolejowy, duże dwie sale dla podróżnych. Wszystko przepelnione. Tysiące podróżnych oczekuje na pociągi. Prawie wszyscy zwolnieni z obozów Polacy. Bilety trzeba stemplować przy kasach<sup>67</sup>. Stoją tam olbrzymie ogonki, przeważnie na próżno.

<sup>67</sup> Na podstawie uzgodnień polsko-radzieckich osoby zwalniane z łagrów i więzień miały prawo do bezpłatnych biletów na przejazd do nowego miejsca zamieszkania, jednakże zgodnie z radzieckimi przepisami na stacjach przesiadkowych musiały uzyskać potwierdzenie, to zaś uzależnione było od ilości miejsc w pociągach i wymagało nieraz wielodniowego wyczekiwania.

Stemplowanie odkładają z dnia na dzień. Pociągi pełne wojska albo uchodźców z miejscowości zajętych przez Niemców. Obiady jadam z p. Raciborską w restauracji dworcowej — po dwuletnim głodzie wydają się bardzo dobre. Tak siedzieliśmy trzy doby, czekając na możliwość dalszego wyjazdu. W międzyczasie jadę tramwajem do miasta, aby je zobaczyć. Na ogół robi wrażenie opuszczonego, gdzieś tylko, ale rzadko, nowe, duże i dobrze na zewnątrz utrzymane gmachy, wobec których cała masa niskich, drewnianych, zaniedbanych i brudnych domków bardzo smutno wygląda. Ludzie źle ubrani. Przy sklepach ogonki, a w tramwaju tłok. Podczas pobytu na stacji, gdy Raciborska odeszła do bufetu, ktoś ze znajomych Polaków — a miałem ich tu ze setkę na dworcu — powiedział mi, że w jakimś transporcie z północy, przyjechała panna Janina Raciborska, córka mojej towarzyski. Poprosiłem, by ją odnaleziono i przyprowadzono. Gdy matka wróciła i zastała ją ze mną, odbyło się radosne spotkanie. Potem obie już jechały dalej ze mną. Po jakimś tygodniu dojechaliśmy do miasta Alma-Ata, na dworzec centralny, z którego jest odnoga kolejowa do odległego o 5 km dworca miejskiego. Dworce, zwłaszcza centralny, też ładne. Miasto ładne, robi wrażenie. Na kilkanaście kilometrów widnieje łańcuch wysokich gór, dużo zieleni, ulice i skwery wysadzone drzewami i krzewami, dużo ładnych topoli piramidalnych, część ulic asfaltowych, sporo domów o dobrym wyglądzie. Niemało też sklepów, choć przeważnie prawie pustych, bez towarów. Na rynku tłok — sprzedaż najrozmaitszych rzeczy, używanego ubrania, obuwia itp., jest też trochę produktów spożywczych. Jest kilka dobrych restauracji, można dostać potrawy *à la carte*, np. między innymi takie smakołyki, jak bliny ze śmietaną i masłem. Z porady panny Raciborskiej kupuję sobie garnitur z ciemnozielonego barchanu za 50 rubli. Kupiłem też grzebień do włosów, które przecież zaczną wkrótce odrastać, no i do wąsów, oraz białą czapkę płócienną.

Po kilku dniach pobytu na dworcu i załatwieniu formalności w NKWD, odjeżdżamy autobusami do ilimskiego rejonu, którego ośrodkiem jest Tałgar<sup>68</sup>. Jadą ze mną obie

<sup>68</sup> Tałgar — centrum rejonu ilińskiego w obwodzie almaackim, miejscowość oddalona o ok. 25 km od Alma-Aty; na wysokim brzegu rzeki Tałgar w wiekach X—XIV znajdował się gród położony na szlaku karawanowym łączącym Chiny z krajami Azji środkowej.

Raciborskie, Kolago, Milikowski, Kotlar, Kuperberg i wiele innych osób. Jedziemy szosą wśród winnic, sadów i pól, ale najwięcej jest sadów. „Alma-Ata” znaczy w kazachskim języku „ojciec jabłek”. Jabłka są olbrzymie, słodkie, ogromnie soczyste i niezmiernie aromatyczne. We wrześniu już są dojrzałe i kończy się ich sezon. Jakoby nieszczepione, też są dobre. Gruszki olbrzymie, słodkie i rozplywające się w ustach. Dzikie morele, dzikie jabłonie tworzą gaje i całe lasy na pochyłościach gór, do których jadąc szosą coraz bardziej się zbliżamy. Jest to pasmo jednej z odnóg Tien-Szan. Wreszcie o jakieś 25 km od Alma-Aty wjeżdżamy szosą do leżącego tuż, może o 1–2 km od stóp gór, miejsca naszego przeznaczenia – do Tałgaru.

Jest już późny wieczór. Przejeżdżamy przez wysoki drewniany most na górskiej rzeczulce Tałgar i zatrzymujemy się przed „Domem Kolchoźnika”, gdzie mamy nocować. Jest to dom zajezdny, utrzymywany przez jeden z kolchozów, których kilka zarządów mieści się w stancy. Są tam dwie izby, zastawione łózkami, na których lokujemy się, jak kto może, kobiety i mężczyźni. Na dziedzińcu nastawiają duży samowar, jest więc „kipiatok” i „czaj” – naturalnie surogat. Po krótkim posiłku, kładziemy się. Nazajutrz rano rozglądamy się dokoła. Miejsowość jest śliczna. Wysokie pasmo skalistych gór o wiele wyższych od naszych szczytów w Zakopanem<sup>69</sup>. Od dołu porosłe lasem, przeważnie liściastym: dęby, jabłonie, brzozy, dzikie morele, miejscami osina. Wyżej gołe skały. Parę szczytów z nietopniejącym nigdy śniegiem. Sama stanica leży 1900 m n.p.m. Powietrze czyste, górskie – klimat kontynentalny. Góry otaczają Tałgar od południa i wschodu. U stóp ich również, na dalekim horyzoncie jakby za mgłą, znów jakieś pasmo widnieje. Jedynie na zachód ciągnie się teren otwarty. U podnóża gór i cała bliżej nich leżąca dolina to bogate gliny, gęsto poprzecinane pędzącymi z gór strumieniami, o pięknej, czystej wodzie, szumiącej wśród większych i mniejszych różnobarwnych kamieni. W samym Tałgarze dużo zieleni, zwłaszcza piękne aleje z wyniosłych, silnie i prędko rosnących topoli, brzozy, dzikie morele, wiąz, dużo głogu i rzadko bez pachnący. Sosnę widać więcej na stokach gór. Większość pól dookoła miasteczka zasadzona drzewami jabło-

<sup>69</sup> Masyw Tałgarski stanowi najwyższą część Altaju Zailijskiego, a jego najwyższy szczyt Tałgar ma wysokość 4951 m n.p.m.

ni, które tu bez pielęgnacji rosną prędko i wspaniale. Cała okolica to jakby wielki sad jabłoniowy, między rzędami drzew poletka kawonów, ogórków, pomidorów, kukurydzy, lucerny, pszenicy i truskawek. Pod uprawę pszenicy są też grunty poza sadami. Oddzielny sowchoz uprawia tytoń.

W mieście jest kilka fabryk: przetworów owocowych, gorzelnia, suszarnia tytoniu, garbarnia i kombinat produktów spożywczych. Domki na ogół małe, rzadko drewniane, w olbrzymiej większości lepione z gliny, która jest wszędzie. Robią samany albo wprost lepia z gliny. Dachy też gliniane bardzo lekko pochyle. W Tałgarze mieści się rejonowy komitet wykonawczy<sup>70</sup>, zarządy kilku otaczających stanicę kolchozów, poczta i telegraf, szpital, ambulatorium, NKWD, milicja, koszary i kilka szkół. Zabudowania najlepsze zajmują właśnie te instytucje.

W byłej cerkwi jest kino i klub dla żołnierzy. Poza tym 2 młyny wodne, 3 restauracje, które na razie były czynne dla wszystkich, lecz wkrótce dawały obiady tylko urzędnikom i wojskowym, kilkanaście sklepów małych i najczęściej – bez towaru. Ze zwierząt pociągowych uderza duża stosunkowo liczba osłów i nieco mniej mułów, tych zwierząt w stepach wcale się nie spotykało. Poza tym sporo koni, wołów, rzadziej wielbłądy. Z innych zwierząt kozy, krowy i mniej owiec. Ze zwierząt dzikich spotyka się zające, lisy, bażanty i kuropatwy. Orły górskie i sokoły często szybują w powietrzu. W górach są tygrysy, czasami niedźwiedzie, wilki, jeżozwierze i różne odmiany kóz czy dzikich saren. Pierwsze parę dni mieszkaliśmy z p.p. Raciborskimi w „Domu Kolchoźnika” i stołowaliśmy się w jadłodajni, a jednocześnie poszukiwaliśmy pracy. Na razie zapytaliśmy się w fabryce przetworów owocowych i jarzynowych; powiedziano nam, że potrzebują pracowników inteligentnych i że na pewno nas przyjmą na niezłe posady, ale trzeba czekać 2 dni na przyjazd z Alma-Aty kierowniczką zakładu. Po jej powrocie dowiedzieliśmy się, że nas nie przyjmie. Wszyscy zgłaszający się Polacy taką samą otrzymali odpowiedź, a jednocześnie szukano pracowników – Rosjan. Część naszych znalazła pracę w pra-

<sup>70</sup> Rejonowy komitet wykonawczy (ros. районный исполнительный комитет, w skrócie райисполком) – rejonowy (powiatowy) organ administracji, powoływany przez radę rejonową; na jego czele stał przewodniczący.

cowni rymarskiej, w garbarni, szwalni, ale najwięcej w kołchozach. Zwróciłem się do zarządu kołchozu im. Engelsa. Po rozmowie, przewodniczący kołchozu zdecydował, że da mi stanowisko rachmistrza w jednej z brygad i skierował mnie do starego buchaltera, który miał mnie pouczyć, gdzie i co mam robić. Zamiast tego buchalter ów powiedział mi, że mnie nie przyjmą, gdyż mają już innych kandydatów. Przewodniczący też wycofał się ze swej poprzedniej decyzji — zgłosiłem się więc na zwykłego robotnika i dostałem natychmiast przydział do V brygady, blisko miasteczka, o jakiś kilometr od szosy z Alma-Aty. Tam też zapisał się Kolago i obie Raciborskie. Dużo innych Polaków zostało robotnikami brygad w tymże kołchozie im. Engelsa lub w kołchozie im. J. Marksa. Brygady są to samodzielne folwarki, na które cały kołchoz jest podzielony. Z p.p. Raciborskimi wynajęliśmy wspólnie izdebkę za 30 rubli miesięcznie przy ul. Szosowej. Była to glinobitna chałupka o 2 izbach, z glinianą podłogą. W pierwszej izdebce o dużym piecu mieszcili się właściciele — para młodych i niesympatycznych Rosjan tu przesiedlonych — drugą izdebkę odnajęli nam. Z mebli był tylko bardzo wąty stolik i mała ławeczka. Spać wypadało na ziemi, myć się w ślicznym ruczaju, który pod oknem przepływał. Do innych wygod służyły wyrwy nad ruczajem zarosłe głogiem, rozmarynowcem i łożą. Kolago ulokował się w samym kołchozie, w szałasie z trzciny, ustawionym pod dębami nad brzegiem innego przepięknego strumienia.

Co dzień rano szliśmy do pracy, a tzw. „brygadir”, przydział nam zajęcie. Był nim Moskał, nieinteligentny pijak, dbający tylko o siebie. W przeciągu półrocznej mojej pracy, zmieniło się ich pięciu. Jeden z nich tylko był trzeźwy i sympatyczny, ale ten był najkrócej. Kopano pod nim, intrygowano, aż przeniesiono go na inne stanowisko. Był za porządny. Stałym intrygantem był koniuch, zrussyfikowany Ukrainiec, pijak i złodziej. Zbierał sobie kompanów, z którymi pił i brygadir, potem był oskarżany przed władzami kołchozu, lub komsomolu i wylatywał z posady. W ośrodku brygady stał długi budynek glinobitny, w którym mieściły się: kancelaria, sklepik, kuchnia zimowa i 2 izby. Latem gotowano jedzenie w dwóch kotłach na pagórku między drzewami, w ich cieniu stał długi stół i 2 ławy. Tam spożywaliśmy śniadania, obiady i wieczerze podczas robót letnich i jesiennych. Po obu

stronach pagórka, kilkadziesiąt kroków od naszej jadalni płynęły dwa dość duże potoki górskie wśród dębów, wiązów, topoli piramidalnych i drzew owocowych. Od strony południowej wznosił się łańcuch szczytów Tien-Szan, na północ ciągnęły się młode jeszcze sady owocowe.

Życie w kołchozie szło znośnie, a nawet dobrze. O 7 rano przychodziliśmy do ośrodka, otrzymywaliśmy po 60 dkg chleba razowego z pszenicy (jako dzienną porcję). Żyta tu w ogóle prawie nie ma, zdarza się tylko dzikie. Potem dostawaliśmy kipiatak, a jednocześnie można było pożerać kawony ile wlezie. Czerwone, słodkie jak cukier, niesłychanie soczyste i świetne. Na nich się odpasłem w jesieni 1941 roku. Po śniadaniu szliśmy kopać, a potem przebierać kartofle albo zbierać lub sortować pomidory, a zawsze każdy wybierał sobie na polu po najlepszym kawonie, którym gasiło się pragnienie. W południe była dwugodzinna przerwa. Wracaliśmy do ośrodka, jedli obiad, zazwyczaj zupę kartoflaną, czasami z kawałkiem końskiego mięsa, zagryzali jabłkiem lub kawonem. Potem spaliśmy pół godziny pod dębami nad rzeczulką, nieraz była krótka kąpiel w rzeczulce czy strumieniu i znowu na pole do pracy. A pracować było miło na świeżym powietrzu, przy pięknym błękitnie nieba, złotym, palącym słońcu i nieopisanie pięknym widoku na łańcuch górski. Wieczorem znowu przy stole ustawionym w cieniu drzew jabłoni, trochę zupy odgrzanej z obiadu i powrót do domu z kawonem pod pachą. Dawano go pod warunkiem, aby odnieść pestki, które zbierano na nasiona.

Po miesiącu musieliśmy się przenieść na inne mieszkanie, gdyż brat naszego gospodarza się żenił. Zamieszkaliśmy przy tej samej ulicy o kilka domów dalej u młodej, przystojnej i bardzo gospodarnej Ukrainki. Mąż zabrany na wojnę, przy niej pięcioro dzieci. Ona sama i najstarszy 15-letni syn pracują w kołchozie. Sama opiera rodzinę, gotuje rano przed wyjściem do pracy, szyje, sprząta. Większe dziewczynki niańczą dziecko najmniejsze i pomagają matce. Gdy dzieci zasną matka modli się w ukryciu — boi się robić tego otwarcie. Kiedyś późno wieczorem ochrzczono najmniejsze dziecko. Przyszła niedaleko mieszkająca „babuszka” — starsza, zacna i pobożna kobieta — nakryto stół obrusem, wyciągnięto z dna wielkiego kufra starannie schowaną ikonę i ustawiono ją na stole między dwoma zapalonymi świeczkami. W misce stała woda. „Babuszka” modliła się głośno i ochrzciła małą dziewczynkę

z wody. Dziecko ubrano w uszytą uprzednio przez matkę sukienkę, wypito wódkę i zjedzono przygotowane „smakołyki”. Mimo to obrządek był smutny. Wzdychano z żalu, że nie można mieć duchownego, że trzeba się z tym kryć.

My mieliśmy taką samą izdebkę jak w poprzednim mieszkaniu — bez podłogi, bez tapczanu do spania, z jednym małym ledwie trzymającym się stolikiem i zydelkiem, ale za to z czymś w rodzaju плитки<sup>71</sup> wąskiej i słabo grzejącej o 3 fajerkach. Na razie było tam znośnie, ale gdy przyszła zima, zrobiło się gorzej. Jednak do Bożego Narodzenia chłód był nieduży, śnieg prawie nie padał. Pracowałem pod dachem przy sortowaniu cebuli albo w piwnicy przy przebieraniu kartofli. Ale nie codziennie. Nie co dzień też dostawaliśmy obiad, a śniadań i kolacji nigdy. Trzeba było gotować w domu wieczorami, od razu obiad i kolację. Chleb dostawaliśmy w kolchozie. Stamtąd też trochę kartofli i pszenicy, i słomy na opał. Pieniędzmi nie płacono. Po słomę trzeba było jechać daleko w pole. Po wielu prośbach i długim czekaniu dostałem furgon kilka razy z kolchozu. Jeździłem ja, panna Nina i Kolago, który okradziony w swoim szafasie musiał opuścić go z powodu zimna i ulokował się u nas koło kuchni. Wożenie było ciężkie, zwłaszcza wydzieranie słomy ze sterty, a wszyscy byliśmy słabi. Palenie słomą było niegorsze, tylko że kuchnia dymiła. Gotowały panie, ale właściwie nic zrobić nie umiały, na niczym się nie znały. Najczęściej była zacierka, czasem kartoflanka, czasem kartofle pieczone, no i „niby” herbata czy kawa.

W tym czasie w Tałgarze było wielu Polaków. Mężem zaufania z ramienia delegatury ambasady<sup>72</sup>, która to delegatura mieściła się w Alma-Acie, był przez krótki czas dr Okular, a gdy ten zachorował, Hanka Januszajtisówna. Zastępcą jej był leśnik Dunin-Harkiewicz i pomocnicą panna Mika Kudła, ładna i miła. Januszajtisówna miała bratową z 2 dziewczynkami, Dunin żonę, małego synka i starą żonę gajowego za nianię, poza tym byli inż. Lisowski z żoną

<sup>71</sup> Plitka (ros. плитка) — płyta kuchenna.

<sup>72</sup> Polska ambasada w ZSRR rozwinęła sieć swoich przedstawicielstw terenowych, tzw. delegatur, działających w największych skupiskach ludności polskiej i pełniących funkcje opiekuńcze w stosunku do tej ludności, a w pewnym zakresie także funkcje konsularne. W mniejszych skupiskach działali tzw. mężowie zaufania powoływani przez delegatów ambasady.

lekarką, Czeremszyńscy z 2 córkami, jedną panną, a drugą zamężną Zimnochową, Jadwiga Scheinkönig moja znajoma z Min. Spraw Wewnętrznych w Warszawie, Konopacki z Mostów k. Grodna, Kopczyńska z córką, Milikowski, Kotlar, Kuperberg, panna Kupiec, schorowana Żydówka i kilkadziesiąt Polek i Polaków w kolchozach, których nazwisk już niestety nie pamiętam. Była jeszcze p. Zofia Samojlewiczowa, znajoma z obozu pracy. Przez delegaturę zaczęła przychodzić do Tałgaru pomoc, na razie amerykańska w postaci odzieży, a pod koniec zimy pewne zapomogi pieniężne dla osób starych i słabych. Ja otrzymałem koc amerykański brudno-błękitnego koloru, takiż wełniany szalik, a przed wiosną buty żołnierskie, masywne, ale ciężkie i kaleczące nogi. Poza tym przez ostatnie miesiące pobytu, co miesiąc po kilkadziesiąt rubli zapomogi. Miałem więc z czego opłacić mieszkanie, dokupić od czasu do czasu szklankę mleka za 2 ruble, kupić znaczki pocztowe itp. Korespondowałem często z naszą biedną gromadą, siedzącą w Budionnowskim Sowchozie nr 107, ferma Tiomnaja w rejonie presnowskim północnego Kazachstanu, tj. z Bronią, Dziunią, Iną i Renią, a nawet już z ich dziećmi. Kupiłem sobie kilka ładnych odkrytek<sup>73</sup> i fotografii Tałgaru, gór i Kazachów, a parę wysłałem dzieciakom do Tiomnej. Za to od Reni dostałem wielki prezent, który dotąd ocalał i stoi teraz przede mną, na moim biurku w Teheranie. Fotografie Wasze moi Najdrożsi, amatorskie, zrobione na gazonie w Czernichowie. Na tle bżów Zosieńka moja, Terenia z Basią Ślizieniówną i lalkami, a za nimi stoi Zygmunt brat mój kochany, Ottonek Ślizień z cukierkiem w ustach i Pani Jadwiga Giedroyciówna opiekunka i nauczycielka Tereni. Ta fotografia daje mi dużo szczęścia. Trudno mi oczu od niej oderwać. Jakże mi do Was tęskno!

Tak nadeszły Święta Bożego Narodzenia. Wigilię postanowili Polacy obchodzić grupami. My — 12 osób — mieliśmy zejść się w pokoju p.p. Czeremszyńskich, jako największym niedaleko od nas, gotowano zaś u nas. Ja postarałem się o gałązki świerkowe i trochę siana pod obrus, panie Raciborskie i obie córki Czeremszyńskich gotowały, a produkty były składkowe, każdy coś przyniósł. Gdy wszystko było gotowe i zebraliśmy się u państwa Czeremszyńskich, uklękliśmy i ja odmówiłem głośno pacierz, przełamaliśmy się okruchami

<sup>73</sup> Odkrytka — kartka pocztowa.

opłatka, jakoby polskiego, przysłanego przez delegaturę naszej ambasady, przemówiłem słów kilka i zasiedliśmy wszyscy do stołu. Łzy były w oczach, ale atmosfera serdeczna, mieliśmy po kieliszku wódki, kwasek z uszkami, łamańce z makiem, trochę ryby smażonej, przyniesionej przez dr Lisowską, kompot z owoców suszonych i kawę (ersatz<sup>74</sup> naturalnie), ale rzadkość w raju sowieckim. Wszyscy podpisali się na pamiątkowej odkrytce z pięknym widokiem szczytów Tien-Szan, którą na ten cel przygotowałem, by mieć pamiątkę tej wigilii. Ale i to ukradli mi potem.

Po wieczery wracaliśmy do domu w noc gwiaździstą, a myśli moje i serce były tak bardzo daleko przy Was, Zosieńko, Tereniu, Zygmuncie, przy grobowcu czernichowskim. Tak przeszły trzecie Święta na wygnaniu, lepsze od poprzednich w więzieniu baranowickim i w norze wśród bandytów w obozie pracy w stepach północnego Kazachstanu. Na Pierwszy Dzień chodziłem do Januszajtisów i Lisowskich, na Drugi Dzień na przedstawienie szopki w sąsiednim kolchozie im. Marksa, gdzie było przeszło 20 naszych młodych kobiet. Szopkę odegrano doskonale. Ułożyła ją i reżyserowała p. Jadwiga Scheinkönigowa — ona sama grała Heroda. Potem śpiewano kolędy. Miło to było słyszeć i widzieć tam, hen, o kilka tysięcy kilometrów od naszego kraju. Później już w Jangi-Jul<sup>75</sup> czytałem w piśmie „Polska”<sup>76</sup>, wydawanym przez naszą ambasadę w Kujbyszewie, opis tej szopki sporządzony przez tę samą p. Jadwigę. Wspomniała w nim o starym senatorze, który miał łzy w oczach. To prawda. Bo przed oczami stały mi czernichowskie nasze „gwiazdy” i „betlejki”, tam w jadalnym pokoju starej kuchennej oficynki i my wszyscy razem, i Terenia, i Ludwikowa wierna pokojówka i kucharka. Mój Boże! Numer tej „Polski” ocalał, a cały pozostały jej komplet, jak również wydawanego przez armię „Orla Białego”<sup>77</sup>, podzielił los mych ukradzionych rzeczy.

<sup>74</sup> Ersatz (niem.) — namiastka, substytut.

<sup>75</sup> W wyniku translokacji armii polskiej do radzieckich republik środkowoazjatyckich w Jangi-Jul w Uzbeckiej SRR znalazła się siedziba jej dowództwa.

<sup>76</sup> „Polska” — dwutygodnik ambasady polskiej w ZSRR redagowany przez Ksawerego Pruszyńskiego; czasopismo to ukazywało się od grudnia 1941 r. do marca 1943 r.

<sup>77</sup> „Orzeł Biały” — organ prasowy Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, ukazywał się na terenie Związku Radzieckiego od grudnia 1941 r. do lipca 1942 r. (łącznie 26 numerów).

W tym czasie, dowiedziałem się, że w Alma-Acie w delegaturze ambasady jest Eustachy Sapięha<sup>78</sup>, którego znałem od dawna. Napisałem do niego na z trudem zdobytym kawałeczku papieru, (bo papieru tu nie ma) i po pewnym czasie dostałem odpowiedź, że chcą mnie widzieć w delegaturze. Autobus nie jeździł, nie miałem zresztą pieniędzy. Byłem słaby, ale poszedłem pieszo wraz z naszą gospodynią, która też szła po jakieś zakupy. Okazało się, że jestem jednak mocny. Drogę 25 km, po oblodzonej częściowo szosie, zrobiłem w 5 godzin. Byłem zmęczony. Do zajazdu czy hotelu nie wpuszczają bez kartki o odbyciu łaźni. Zamówiłem więc łóżko w „Domu Kolchoźnika” i poszedłem szukać „bani”<sup>79</sup>. Tam w brudach czekałem kilka godzin w kolejce. Nim się wykąpałem była 8 wieczór. Byłem wściekle głodny. Pokazano mi restaurację, gdzie od 9–11 wieczorem mogę dostać jedzenie osoby z publiczności, tj. nie należącej do NKWD, partii komunistycznej, armii itp. uprzywilejowanych instytucji. Stałem więc znowu w kolejce na ulicy i rzeczywiście po godzinie czekania pierwsze 25 osób, w których i ja byłem, wcisnęło się do wnętrza. Reszta — długi wąż, który się tymczasem utworzył — musiała czekać aż my zjemy. Jadłem za wszystkie niemal pieniądze, jakie miałem. Zupę, mięso i piwo. Wnętrze restauracji porządne, jedzenie niezłe, nawet jakaś muzyczka przygrywała. Gdy wróciłem do „Domu Kolchoźnika” z kartką z łaźni o dokonaniu „sanobrobotki”<sup>80</sup>, okazało się, że łóżko zamówione przeze mnie oddano innemu, a ja musiałem się walać po całym dniu zmęczenia na cementowej podłodze w poczekalni, pomiędzy różnymi zawszawionymi oberwańcami. I na co się przydała cała „sanobrobotka”!

<sup>78</sup> Eustachy Kajetan Sapięha, książe (1881–1963) — ziemianin, dyplomata; minister spraw zagranicznych w latach 1920–1921; poseł na sejm w latach 1928–1929; 22 września 1939 r. aresztowany przez władze radzieckie, otrzymał wyrok śmierci, zamieniony następnie na 10 lat pobytu w obozie pracy; zwolniony na mocy amnestii w 1941 r., pracował w delegaturze ambasady polskiej w Alma-Acie, następnie w aparacie propagandowym armii polskiej; ewakuowany latem 1942 r., przebywał przez pewien czas w Teheranie, następnie został pełnomocnikiem PCK na Afrykę Centralną i Wschodnią.

<sup>79</sup> Bania (ros. баня) — rosyjska łaźnia parowa.

<sup>80</sup> Sanobrobotka — zabiegi sanitarne mające na celu zapobieżenie chorobom epidemicznym; składały się na nie dezynfekcja odzieży (najczęściej metodą termiczną), kąpiel, a czasem także strzyżenie.

Nazajutrz rano poszedłem do hotelu „Dom Sowietów”, gdzie mieściła się nasza delegatura. Delegatem jest p. Więcek<sup>81</sup>, z nim pracują Sapieha, jakiś starszy i ledwie suwający nogi major, Żyd intendent, sekretarz, ładna i elegancka sekretarka p. Jagodzińska i to wszystko. Więcek, człowiek w sile wieku, ale długo nad każdą rzeczą myślący, niezdecydowany, unikający zetknięcia z władzami sowieckimi, robi wrażenie bardzo słabego administratora. Za to czule asystuje swojej sekretarce. Przyjęto mnie grzecznie i serdecznie. Więcek zaproponował mi pracę w jednym z rejonów Alma-Aty w charakterze męża zaufania. Sapieha doradził skomunikować się z ambasadorem i polecić mnie na stanowisko delegata, których to stanowisk jakoby parę wakuje<sup>82</sup>. W rezultacie czekałem 4 dni na decyzję, którą i mnie, i innym osobom czekającym odkładano. Nocowałem jedną noc jeszcze na podłodze w poczekalni „Domu Kołchoźnika”, drugą na kanapie „Domu Sowietów” wreszcie ostatnią na podłodze, przykryty dywanem w samym biurze delegatury, dokąd wniosłem się trochę przebojem. Dnie spędzałem w delegaturze, na obiady byłem zapraszany przez p. Więcka do restauracji. Nie doczekawszy się decyzji wyszedłem z powrotem zasilony jakąś zapomogą. Na pożegnanie zapewnił mnie delegat, że najdalej w ciągu tygodnia dostanę telefoniczną wiadomość, gdzie i w jaki sposób będę mógł pracować wreszcie znowu jak dawniej, przez całe swoje życie dla Polski i dla Polaków. Na próżno jednak czekałem. Później, po przeszło pół roku, dowiedziałem się w Jangi-Jul, że właśnie w tym samym czasie szukano mnie z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Był to czas reorganizacji Rady Narodowej<sup>83</sup>. Że mnie wówczas nie odnaleziono, byłoby to dziwne, gdyby się nie znało panujących w tym okresie nastrojów partyjnych.

<sup>81</sup> Kazimierz Więcek — delegat ambasady polskiej w Alma-Acie.

<sup>82</sup> Informacja nieścisła. O obsadzie delegatur szerzej zob. w *Posłowie*.

<sup>83</sup> Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej — organ doradczy prezydenta i rządu na obczyźnie, swego rodzaju namiastka parlamentu; powołana została do życia na mocy dekretu prezydenta z 21 grudnia 1939 r. 3 września 1941 r. prezydent Raczkiewicz rozwiązał Radę, powołując się na zasadnicze zmiany w sytuacji politycznej oraz potrzebę odnowienia składu osobowego tego organu. 3 lutego 1942 r. na wniosek gen. Sikorskiego W. Raczkiewicz powołał nową Radę w rozszerzonym składzie. Jeśli brać pod uwagę ówczesny układ sił politycznych w strukturach władzy, to należy uznać za mało prawdopodobne, by poważnie mogła być rozpatrywana kandydatura Konstantego Rdułtowskiego.

Delegatura zajmowała w hotelu 2 pokoje. W większym było biuro, a w nocy spali tam major i Żyd-intendent, w mniejszym stały łóżka Więcka i Sapiehy. Sekretarz i sekretarka mieli swoje oddzielne pokoje mieszkalne. Po pożegnaniu w delegaturze poszedłem na rynek, znajdujący się na przedmieściu Alma-Aty i nająłem jakiegoś Kazacha jadącego w kierunku Tałgaru, by mnie podwiózł. Na wieczór wróciłem z paradą, przywożąc ze sobą b. ładny spory wazonik fajansowy, wzorzysty, o miejscowych motywach ludowych, przypominające nasze huculskie. Miałem go ze sobą później — w Jangi-Jul. Łudziłem się, że dowiozę do domu dla Zosi, ale przy wyjeździe z Sowietów i to też zginęło.

W Tałgarze pracowałem nadal w kołchozie. Teraz zbierałem liście z jajczkami robaków. Było ich dużo. Chodziłem sobie sam jeden, albo z Kolago po śniegu i zrywałem robaczywe listki, wrzucając do zawieszanej na szyi torby płóciennej. Choć nogi były mokre i zimne, a sam też oberwany, czułem się jednak dobrze, daleko od ludzi w tym sadzie olbrzymim i modliłem się nieraz, lub nuciłem pieśni kościelne, patrząc na błękit nieba i skrzący śnieg na pięknych górskich szczytach. Gorzej było w mieszkaniu. Tam były wszy i pluskwy. Słomy na opał nie było. W niedzielę lub dni wolne od pracy pożyczalem od jednego z chłopów małe saneczki i sam albo z pomocą panny Niny Raciborskiej szliśmy na jakąś łączkę odległą o mniej więcej 5 km, gdzie spod śniegu sterczało dużo zeschniętych badyli, wysokich dzikich roślin, które rwało się ręcznie, lub rąbało siekierą, lub zrywało sierpem i ciągnęło na sankach do domu uwiązane sznurem. Robota taka zajmowała dzień cały. Przywieziony „kuraj” palił się doskonale i z jednych dobrze naładowanych saneczek starczyło na 2–3 dni palenia.

W tym czasie uległem aż dwóm nieszczęśliwym wypadkom. Raz wieczorem poszedłem do Tałgaru dowiedzieć się, czy nie ma dla mnie jakichś wiadomości z Alma-Aty. Szosa zasypana była śniegiem, środek tylko wyjeżdżony. Gdy wracałem o zmierzchu zobaczyłem, że z tyłu jedzie autobus z Tałgaru. Zszedłem z ujeżdżonej drogi do rowu, głęboko włączając w śnieg. Gdy autobus zrównał się ze mną, nagle zawrócił z drogi wprost na mnie i upadł przednimi kołami do rowu, w którym stałem, wywracając mnie na ziemię i łamiąc łaskę. Jeszcze chwila, a byłbym zabity. Autobus jednak zahamowano i cofnięto w tył, zostawiając mnie wdeptanego w śnieg w rowie,

ale na szczęście całego. Z trudem się wydobyłem i dobrnąłem do domu. Po paru tygodniach rano wyszedłem z domu na robotę do kolchozu. Po odwilży w dniu poprzednim była ślizgawica, i mimo laski nie mogłem wprost utrzymać się na nogach. Chciałem już nawet wracać do domu, gdy nagle runąłem na lewy bok i poczułem okropny ból lewej ręki. Ruszyć ręką nie mogłem. Całą siłą woli panowałem nad sobą, aby nie krzyknąć z bólu. Widziałem, że ręka raptownie spuchła, czułem, że jest złamana. Dowlokłem się jednak do kolchozu i powiedziałem brygadziście, że złamałem rękę i przez kilka dni nie przyjdę do pracy. Ten zwolnił mnie, ale twierdził, że to nie złamanie, bo w innym wypadku krzychałbym z bólu i nie mógłbym iść tak daleko. Wróciłem do domu i położyłem się na swym barłogu. Przez kilka dni miałem szalony ból. Chodziłem do ambulatorium. Zrobiono bandaż z waty, ale bez deszczulki i temblaka. Dopiero później przekonano się, że ręka była złamana. Obrzęk w ciągu kilku tygodni malał, kość się zrastała, ale trochę krzywo. Pozostało zgrubienie, ból i niemożność używania tej ręki. Przez czas choroby brałem z kolchozu do przebierania w domu nasiona kawonów i melonów, potem znów chodziłem do sadu.

Nadchodziła wiosna. Pojawiły się w początkach kwietnia pierwsze kwiaty, m.in. białe krokusy. Słońce piekło mocno, śnieg zniknął, wody w ruczajach pędziły wesoło. W duszy wzrastała nadzieja. Na razie żyło się jakoś. W kolchozie dostałem tapczan do spania, a nawet ku memu zdziwieniu były brygadzista Popow ofiarował mi wcale dobrą parę bucików oraz watowane spodnie i kufajkę z czarnej merli, zaznaczając przy tym, że „stary mimo braku sił od roboty się nie odmawia i daje dobry przykład innym”. Poza tym delegatura poprzez męża zaufania udzielała mi pomocy w gotówce co miesiąc.

Powstał w tym czasie projekt zorganizowania przez delegaturę domu starców w Tałgarze i ja byłem upatrzony na jego kierownika. Cieszyłem się, że zacznę wreszcie pracować w polskiej placówce i dla swoich, chodziłem oglądać budynek u stóp gór nad ładnym potokiem o jakieś 5 km od Tałgaru. Sporządzałem kosztorys. Ale sprawa się przewlekała i nigdy ten projekt nie został zrealizowany.

Tymczasem Kolago dostał wezwanie do wojska polskiego i odjechał. Po jakimś tygodniu inż. Dunin-Harkiewicz przywiózł mi list od znajomego ziemianina Augusta Łętowskiego

spod Żyrowic. Pisał, że jest mężem zaufania na placówce w Jangi-Jul koło Taszkientu, gdzie stoi sztab armii polskiej i prosi mnie na wszystko, bym natychmiast przyjechał na zarezerwowane stanowisko jego zastępcy. Żal mi było pięknego Tałgaru, wahałem się. Znajomi jednak wszyscy zakrzyczeli mi, że będę wariatem, jeżeli nie pojadę. Zazdrościli mi. Więc wysłałem depeszę, że stanowisko przyjmuję i spakowałem manatki. Po dwóch dniach dowiedziałem się, że rano wyjeżdżają ciężarówką do Alma-Aty: Hanka Januszajtisówna, Dunin-Harkiewiczowie z synkiem, panie Kopczyńskie i jeszcze kilka osób, oraz że mogę z nimi jechać. Rozeszła się wieść, że mają oni możliwość jechać do Persji i że Januszajtisówna już nie wróci. Zapytałem ją wprost z myślą, że jeżeli ona wyjedzie, a ja byłem przeznaczony przez delegata ambasady Więcka na stanowisko męża zaufania, to nie odjadę, a zostanę pracować w Tałgarze dla tych rodaków, którzy tam zostają. Odpowiedź jednak była przecząca. Zapakowałem więc to co miałem, kupiłem sobie i pannie Ninie Raciborskiej na pamiątkę papierośnice drewniane z korzenia brzości i odprowadzany przez panie Raciborskie i innych dnia 25 III 1942 roku wsiadłem do auta ciężarowego i pożegnałem jedną z najładniejszych miejscowości, jakie podczas wygnania widziałem — Tałgar. Był to sam dzień Zwiastowania.

W pamięci zostali zagnani złym losem nasi biedni Polacy, zostali Ukraińcy i Rosjanie wyrzuceni ze swych siedzib rodzinnych przez ustrój sowiecki jako nie dość pewnych przekonań i po tułaczce tu osiedli, zostali Kazachowie, lud pozbawiony wolności, wydziedziczony, wyrzucony ze swych dawnych siedzib. Wśród sadów i pól kolchozowych widnieją wszędzie porozrzucane kępy starych drzew z ruinami siedzib, alejami i innymi śladami pozostałymi po ich dawnych, bogatych folwarkach. Dziś, przydzieleni do kolchozów, które wchłonęły ich grunty, mieszkają w biednych wioseczkach, oddzielnie zbudowanych od rosyjskich. Nienawidzą Rosjan i Żydów, ale się z tym kryją. Zachowują niektóre stare zwyczaje. Noszą szerokie pasy skórzane, bogato wysadzone srebrem, używają siodła o wysokich łękach, też z całą ornamentacją srebrną, lubią konną jazdę i dobre konie, polują z orłami, które na łańcuszku trzymają na ramieniu i puszczają na zwierzę łowne. Orły takie łapią im bażanty, zające, sarny, nawet lisy. Ale teraz niewielu ma to wszystko, ogół jest w nędzy. Do Polaków — o ile wiedzą, że to nie Żyd i nie

Rosjanin — mają często sympatię. Na ogół są nieufni i dzicy. Zamiast chleba pieką lepioszki, czyli placki płaskie w zabawnych kulistych piecach, umieszczonych pod odkrytym niebem. Ułatwia to brak deszczów. Bardzo lubią herbatę i strasznie za nią przepłacają, bo mimo bliskości chińskiej granicy herbaty w Kazachstanie nie ma.

Na zawsze pozostanie mi też w pamięci pogrzeb naszego biednego rodaka na cmentarzu tałgarskim. A cmentarzyk to ładny, na wysokim zadrzewionym stromym wzgórzu, nad brzegiem rzeczki we wschodniej części stancy. W szpitalu miejscowym zmarł z chorób i wycieńczenia młody jeszcze Józef Kujawski, dn. 24 XI 1941 r. Były wielkie trudności ze zdobyciem desek na trumnę. Przed szpitalem zebrała się nasza gromada, trumnę położono na wozie. Zebrała się też grupka Rosjanek, bo szeptano w sekrecie, że Polacy z krzyżem chować będą. A starsi tęsknią w Rosji do krzyża. I był krzyżyk drewniany, dość duży, nieśli go nasi przed konduktem. Przez rzeczkę trzeba było przenosić trumnę po wąskiej, ledwie trzymającej się kładce. Wóz jakoś z trudem w bród się przeprawił. Na cmentarz ja niosłem krzyż, silniejsi trumnę, panie gałązki i wieniec sosnowy. Nad trumną odmówiono modlitwy, zaśpiewano „Anioł Pański” i tak spoczął w obcej, choć pięknej ziemi tałgarskiej nasz Polak, jeden z tych dziesiątków tysięcy, których ciała leżą na bezkresnej przestrzeni od Oceanu Lodowatego aż po Zatokę Perską i dalej w Afryce, Persji, Indiach, w całym Sybirze, Azji Środkowej i Zachodniej.

Biedny lud rosyjski jeszcze nam zazdrości: „Polakom wolno czcić Boga, wolno modlić się przed krzyżem. Szczęśliwy ich kraj!” A wśród zebranych przez Rosję ludów Azji Środkowej — Kazachów i Uzbeków — jest dawne podanie, że przyjdzie kiedyś dzień, gdy na ich ziemiach gościć będzie wielka liczba mieszkańców Lechistanu. I będzie to czas szczęśliwy dla ich krajów, bo odzyskają wówczas niepodległość. Przepowiednię tę przechowywali z pokolenia na pokolenie i dziś marzą o bliskim jej urzeczywistnieniu. Lecz sił ani energii na nic więcej prócz marzenia nie mają. A mowa polska, polska modlitwa rozbrzmiewa po całej Azji Środkowej, północnej, zachodniej. Pięknie napisał o tym T. Arten-Wójcicki w ostatnim numerze (nr 5—6) „Polski”, wydawanej przez naszą ambasadę w Kujbyszewie. Wiersz jego zatytułowany *Jak srebrny dzwon* — przytaczam:

## Jak srebrny dzwon

U wrót górzystej Azji,  
W kazachskiej Ałma-Acie,  
Ktoś tękni za Warszawą  
W glinianej małej chacie...

Ktoś inny w Kujbyszewie  
Na słońce patrząc złote  
Krakowa starym murem  
W modlitwie śle tęsknotę...

A inny na Murmaniu  
W szum morski zasłuchany  
Po polsku pisze listy  
Do swojej ukochanej...

Dziewczęta płowowłose,  
Pod niebem uśmiechniętym  
Śpiewają polskie pieśni  
W pustkowiach za Taszkientem...

Na falach rzek Ałtaju,  
Czy w mroźnej tajgi drzewach,  
Melodia polskiej mowy,  
Jak srebrny dzwon rozbrzmiewa...

Legenda nadwiślańska,  
Jak złota nić się wije,  
I od Bajkałskich jezior  
Obiega całą Rosję...

I dźwięczy w mgłach porannych  
I w gwiazdnej nocy pieniach,  
Tułaczym sercom niosąc  
Nadzieję Wyzwolenia...